

„CIEKAWY POWIEŚCI“ LI

J. I. Kraszewski

HRABINA COSEL

Tom III

□ WYDAWNICTWO GEBETHNERA I WOLFFA □

Bezpłatny dodatek „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO“

HRABINA COSEL.

CIEKAWEPOWIEŚCI

MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY NAJWYBITNIEJSZYM
POWIEŚCIOM I ROMANSOM POLSKIM I OBCYM.

Nr. 3 ☐ Marzec 1914

HRABINA COSEL. Tom III.

Redaktor: ☐ Wydawcy:
ARTUR OPPMAN (Or-Ot). GEBETHNER I WOLFF.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

HRABINA COSEL

POWIEŚĆ

Tom III



WARSZAWA, NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — GEBETHNER I SP. ☐ 1914



WU/M/ 1474

I.

Berlin w pierwszej ćwierci XVIII wieku był zaledwie słabym zarysem tej stolicy, jaką został od niedawna. Wzniósł się on i zabudował właśnie w tej porze i był niemal nowym, a miał już charakter właściwy miasta koszar, wojska, klasztornego porządku i ciszy. Tu nie już naówczas nie szło, jak samo chciało, ale jak z góry rozporządzono: wzrost, upiększenie, handel były nakazane, zaprowadzone i wzięte w kluby odrazu. Nic smutniej nie mogło po Dreźnie wyglądać nad ową nadsprejską stolicę. W ulicach widać było więcej żołnierzy, niż ludu, bębny i piszczałki głośniej się słyszeć dawały, niż dzwony, i koszar więcej było, niż kościołów. Po większych ulicach sterczały regularnie ustawione domy, które tam stały, nie że chciały, ale że musiały. Pusto było dosyć. Jednakże Berlin już miał pięć kwartałów i przedmieścia, rozsypane szeroko a nędzne, dokoła. Gdzieniegdzie wśród domków i domów pałace rodziny królewskiej odznaczały się wymuszonym wdziękiem, który wydawał się skądinąd zapożyczony. Na Spandaw-

skiem przedmieściu świecił tak Monbijou królowej, na Stralauskim belweder króla.

Wszystko tu było nowe, jak samo państwo: najstarsze gmachy liczyły wiek swój na lat dziesiątki. Parę posągów nudziło się w tej pustyni, para szerokich placów czekała życia i mieszkańców. Tak na Molekenmarkt stał już Fryderyk I, przeznaczony pierwotnie do arsenału.

Jeden most na Sprewie był już murowany, a zwano go mostem nowym, i zamiast Henryka IV, wstawiono nań elektora Fryderyka-Wilhelma.

Pałac królewski z początkiem wieku budować zaczęto... gasił inne wspaniałością. Schluter tak go obwieśzał wieńcami, iż z pod nich ścian widać nie było; że zaś po nim dwóch innych go kończyło, każdy swym smakiem: trzy smaki zrodziły rzecz niesmaczną. Berlin miał już naówczas nasiona wszystkiego, co wielkie miasta stanowią, brakło mu tylko życia i ludzi. Teatr, galerie, bibliotekę, muzea zakładano śpiesznie, napełniano jak było można: jednakże tu, jak w Dreźnie bywało, nie poświęcano wojska porcelanie, ale zato na wagę złota kupowano żołnierzy. I to, co Berlin w istocie miał najciekawszego, a w czem spoczywała przyszłość jego monarchii, to było wojsko wymustrowane jak machina, regularne jak zegarek, poruszające się jak jeden człowiek.

Tu stał ów sławny pierwszy batalion grenadyerów największych na świecie, złożony z ludzi z całego świata zbieranych, mogący być wzorem tego, co z człowieka zrobić można w tym rodzaju, i do jakiej doskonałości dochodzi mechanizm militarny. Grenadyerów, tych olbrzymów, placono olbrzymio, choć na inne rzeczy wielka

była oszczędność. Niektórzy z nich mieli domy własne i oprócz mustry zajmowali się handlami. Najdorodniejszy z olbrzymów tych, Jonasz Norweżczyk, którego przewieziono zgarbionym i krzywym, tu się dopiero wyprostował i stał owym ideałem żołnierza, jakim później słynął.

Berlin po Dreźnie był to klasztor po teatrze. Gdy powóz zapyłony i zbłocony pani Cosel wtoczył się szczęśliwie w ulice tej stolicy, a piękna hrabina wyjrzała oknem w te piaszczyste puste aleje, na te jakby wymarłe domy, ścisnęło się jej serce; ale tu spodziewała się bezpieczeństwa, spokoju, opieki; tu chciała czekać, aż się może w losie jej coś odmieni.

Z Frankfurtu już wysłany przodem sługa najał jej przy jednej z większych ulic mieszkanie, które po pałacach, jakie niedawno zajmowała, wydało się jej nędznem i biednem, choć było tylko zimnem, niezamieszkanem i pustem.

Ale dla niej była to tylko gospoda. Zaklika siadł drugiego dnia na straży: urządzono, co było potrzeba do życia. Cosel zajęła ciemny kąt, w którymby o niedoli swojej marzyć mogła, i nowe gospodarstwo się rozpoczęło: smutne dni długie a jednostajne.

W Berlinie wszakże incognito nikomu pozostać nie było wolno. Trzeciego dnia Cosel oznajmiono odwiedzić marszałka Warteslebena, gubernatora Berlina, a drugiego marszałek Natzmer, dowódca żandarmów, często przejeżdżając się ulicą, domowi się przypatrywał.

Wszyscy byli bardzo grzeczni.

Z wysokich sfer doleciała wiadomość, że tam przybycie hrabiny, a nadewszystko przekaz na znaczne sumy

do Liebmanna bankiera, widziano okiem bardzo przyjaznem. Z Drezna, pomimo ścisłych stosunków trzech Fryderyków, nie zdawało się grozić nic, i Cosel spodziewać się nie mogła, aby ją tu jeszcze prześladować chciano.

Tu dopiero, wśród tej samotności milczącej, wpośród tego miasta głuchego, które zasypiało o zmroku, wśród tej ciszy złowrogiej, cały ogrom nieszczęścia stanął przed oczyma tej, która nań była skazana.

Goryczą zapłynęło serce. Całe dni siadywała nieruchoma, nie mówiąc słowa, z oczyma czarnemi wlepionemi w ścianę, lub na ulicę, duchem i sercem uciekając w czasy ubiegłe.

Serce jej zadawało sobie pytanie, czy tak łatwo przestać kochać, czy tak łatwo można zapomnieć: czy za szczęście doznane tak prędko można niewdzięcznością płacić?

Charakter króla wydawał się jej poczwarną zagadką. Przypominała sobie czułość jego, dowody przywiązania, niedawne jeszcze tryumfy swoje, a jego przysięgi, i nie mogła pojąć upadku.

Nie zwątpiła o królu, wątpiła o człowieku: mężczyzna cały, jak go Bóg stworzył, zdawał się jej dzikiem szyderstwem. Nie rozumiała życia, nie pojmowała przysięgi, naigrawania się ze świętości, oplwania przeszłości i zadania jej klamu. Świat wydawał jej się czemś niezrozumiałem. Pytała własnego życia i szukała w niem winy, czując karę: nie mogła znaleźć tak wielkiego grzechu, jak była boleść.

W kilka dni kazała sobie przynieść biblię.

W kilka dni także wszedł około południa Zaklika, któ-

ry przychodził zwykle tylko, gdy był zawołany, lub gdy musiał coś oznajmić. Stał w progu ze spuszczonei rękoma. Cosel podniosła głowę ku niemu.

Milczał długo.

— Co powiesz, Zakliko? coś niedobrego?

— A gdzież na świecie dobre! — rzekł — chodzą już koło domu szpiegi, pytają; chciałem tylko powiedzieć, abyś się pani ich strzegła. Nie myślę się, prędzej, czy później zjawi się tu pewnie ktoś z oświadczeniami przyjacieli: zamknij pani usta.

Hrabina się zmarszczyła.

— Musisz mnie już znać — rzekła — że ja i milczeniem kłamać nie umiem. Miałam odwagę jemu i jej rzucić obelgą w oczy, będę mieć męstwo powtórzenia to każdemu, co słuchać zechce.

— Pani — odważył się dodać Zaklika, choć spuszczeniem głowy dała mu znak, że rozmowa ma być skończoną — pani, na cóż ich jątrzyć i zemstę wywoływać? I tak kłamać będą.

Nie odpowiedziała już nic uparta Cosel, z oczu spuszczonych potoczyły się dwie łzy gorzkie; Zaklika wyszedł.

We trzy dni potem młody, ładny mężczyzna kazał się zameldować do hrabiny.

Był to van Tinen.

Hrabina знаła go z tego, iż raz już był do niej wysyłany dla układów, do których chciał przyjść, jak Watzdorf, niewczesnemi oświadczeniami gorącej miłości. Te obelżywe oświadczenia musiała ona znosić cierpliwie, choć ją obrzydzeniem dla nikczemników napełniały.

Przyjeżdżał van Tinena.

Oświadczył najprzód, iż się niezmiernie zdziwił, gdy, będąc w Berlinie, dowiedział się o pobycie jej tutaj, o którym jakoby wcale nie wiedział wprzód.

Cosel spojrzała mu w oczy z szyderstwem.

— A gdzieżeś pan był, gdym opuszczała Saksonię?

— Ja? — rzekł van Tinen — byłem w Dreźnie nawet tego wieczora, gdyś pani pono o mdłości przyprawiła nieszczęśliwą Denhoffową, ale gdy się to raz uciszyło, nie dowiadywałem się, dokąd się pani udać podobało.

— Tak, więc się bardzo cieszę — odpowiedziała Cosel — iż mogliście o mnie zapomnieć: nie więcej teraz nad to nie życzę.

— Ja sędzę — odparł van Tinen — że i tam radziby być pewni, iż pani wyrządzonych sobie krzywd zapomniawsza także.

Milczeli chwilę, van Tinen szepnął:

— Mógłbym pani wiele ciekawych opowiedzieć rzeczy...

Zakrawało to na chęć wkradania się w łaski u Cosel, na zyskanie zaufania.

— Ja-m nie ciekawa — smutnie rozśmiała się Cosel — myślisz pan, że mnie cokolwiek dziś jeszcze obchodzić może? Wierzyłam dawniej w tych szalów szczerłość, myśląc, że z serca się rodzą: dziś wiem, że je tworzy pycha i pustota...

— Bawimy się nadzwyczajnie — rzekł, jakby nie rozumiejąc, van Tinen. — Nie są to rzeczy nowe dla pani, która w tylu świetniejszych zabawach byłaś królową; jednakże...

Snadź chciał wyznania, Cosel milczała; van Tinen, śmiejąc się, po dobrej woli opowiadać zaczął:

— Miejsca te dobrze pani znane, bo niegdyś w Laubegastie pono...

— Mieszkałam tam szczęśliwsza — szepnęła Cosel — a! to prawda.

— Flemming na równinie pod Laubegastem, prawie naprzeciwko Pillnitz, dawał wielką fetę dla króla i Denhoffowej.

— A! a! — zawołała Cosel.

— Sześć naprzód pułków wyszło w pole — mówił przybyły — cała królewska lejbgwardya konna użyta była. Na wyżynach rozstawiono działa i wojska tak rozporządzono, ażeby dwór miał widowisko prawdziwej wojny. Jakoż udało się wszystko przepysznie. Rozdzielone pułki postępowały, dając ognia, nacierając, a choć oprócz kilku wywróconych i podeptanych, nikomu się nic nie stało, można było przysiąc, że bitwa była najzaciętsza i przelew krwi okrutny. Król przypatrywał się temu igrzysku, z jednej strony mając przy sobie Denhoffową, z drugiej hetmanową Pocięjową, obie konno, jako amazonki. Otaczał go cały dwór na pysznych rumakach. Reszta dam w poszóstnych powozach patrzyła, nie wysiadając z nich, a był cały świat niewieści.

Cosel uśmiechnęła się szydersko.

— Teraz mu dwie towarzyszą — rzekła — widoczny postęp, a w odwodzie ta aryergarda w powozach. O! rzeczywiście, to wspaniale i po królewsku.

Van Tinen zniżył głos.

— W istocie te dwie — dodał — nie są wcale o siebie ani o nikogo zazdrosne. Ale wracam do mojego opisu — począł znowu. — Nieopodal rozbite były wspaniałe namioty. Pod jednym z nich król obiadował, mając przy

sobie: Denhoffową, Pocięową, Bielińską i co najprzenniejsze osoby z towarzystwa.

— I pan tam byłeś? — spytała szydersko Cosel.

Van Tinen zarumienił się.

— Nie, ja-m był w drugim namiocie, ale widziałem doskonale wszystko. W czasie obiadu muzyki nam przygrywały, a na wiwat były działa i tak na przemian grzmot armat i trąby towarzyszyły wesołym okrzykom.

— Prześlicznie — rzekła Cosel — i koniec?

— Nie, to dopiero początek. Po obiedzie nastąpiła zabawa, ze stołów nie zbierano, Flemming chciał resztkami nakarmić żołnierzy; ale że chleba brakło, w każdy kawałek chleba wetknięto po guldenie i użyto ich przeszło tysiąc. Zatrąbiono wtedy do szturm... Żołnierze, stojący w bojowym porządku, posunęli się mężnie ku półmiskom, ale ci, co ich dochwycili się pierwsi, pod naciskiem drugich zostali złamani; padli; trzeci szereg pchał drugi. Stoły się wywracały, ludzie się dusili, kupy żołnierstwa wylały się po ziemi; widowisko było przepyszne: pękałiśmy od śmiechu! Trwało to póty, póki resztek potraw stało i nie zatrąbiono do odwrotu. Król zdala odpoczywał na pagórku z damami. Gdy wieczór nadszedł, w królewskim namiocie rozciągnięto kobierce; stanęły muzyki, zaczęły się tańce i trwały ochoczo do siódmej wieczorem. Flemming przez cały czas chodził z kielichem od gościa do gościa; zaklinał, całował, prosił, lał, przepijał i sam pono się najpierwszy upił. Król także zdawał się w nadto dobrym humorze, ale majestat pański umiał utrzymać, tak, że nikt tego nie poznał. Przypatrywałem się z politowaniem służbowemu szambelanowi jego królewskiej mości, który stał za nim godzinę, trzymając na

tacy szklanke wody, a że wprzód sam coś innego snadź pił, niedobrze się mógł na nogach utrzymać, i gdyby go kto wówczas palcem trącił, byłby się niechybnie wywrócił. Nigdy Flemminga w takim nie widział humorem.

— Nie dziw — rzekła Cosel — obchodził swoje tryumfy, a mój upadek.

— Nareszcie król zabierał się wychodzić — kończył van Tinen — gdy pijany Flemming rzucił mu się na szyję z poufałością braterską, nie zważając, że tyle oczu na nich patrzało, i ozwał się głośno, tak, żeśmy to wszyscy usłyszeć mogli: „Bracie! kochany bracie, kwita z przyjaźni naszej, jeżeli mnie opuścisz“. Pani Denhoffowa, która króla na krok nie opuszcza, zaczęła hamować Flemminga, ale to przychodziło z trudnością; Flemming był tak szczęśliwie pijany, iż nie już nie widział przed sobą, oprócz ludzi równie jak on napiętych. Gdy go Denhoffowa za rękę chwyciła, on ją o mało nie przycisnął oburącz. Wydała mu się ładną i powiedziała jej to tak wyraziście, że aż krzyknęła z oburzenia i gniewu; ale w tejże chwili zaczęła się do rozpuku śmiać. Pomimo tych zaklęć, król i Denhoffowa dostali się na konie i pojechali. Szczęściem, że zręczny laufer ścigał króla krok za krokiem, inaczej już leciał z konia. Chciano go koniecznie do powozu posadzić... rozgniewał się; koniuszego Racknitza, który cokolwiek za ostro się brał, król pchnął precz, a na Denhoffową krzyknął: „Dajże mi pani pokój, znam się z moim koniem: proszę się o mnie nie troszczyć“. Jakoż w galop się puścił, co koń wyskoczy, a kawaler-gardy, dwór i co żyło za nim. Hrabina spadła z konia, ale ją otaczający kawalerowie pod-

chwycili... to ją jakoś opamiętało i choć konno jeździ śmiało, zajęła miejsce w powozie.

— Powinni jej byli pozwolić kark skrócić — odezwiała się Cosel.

— Najzabawniejszy był Flemming — dodał van Tinen — bo po odjeździe dam i króla jeszcze mu nie dosyć było. Okrutną miał do tańca ochotę, więc brał pozostałe służące i kręcił się z nimi raźnie, aż póki nadchodzący ranek nie przerwał tej pięknej zabawy. I Flemmingowi nic nie było.

— Przecież — odezwiała się hrabina — nie pierwszy to raz w ten sposób się z królem obchodził. Sam król mi opowiadał, jak po pijanemu nadokazywawszy, nazajutrz do niego na zamek przyszedł i rzekł: „Słyszę, że Flemming wczoraj trochę się niedorzeczy znajdował, ale wasza królewska mość tego mu za złe nie weźmiesz“. Król do czasu śmieje się i przepuszcza — dodała — lecz ktoś ręczy, że się nie dostanie kiedyś do Königsteinu, gdy mu się jego przyjaciele, tak jak on, przysłużą. Król łagodnym jest jak baranek — rzekła, śmiejąc się szydersko — nieprawdaż, panie szambelanie, a wiecie dlaczego? dlatego, że gniewając się, popsułby sobie zabawę. Potem, gdy mu się znuży człowiek, skinie i każe, aby go więcej nie widział: na tem komedia skończona!!!

Cosel zaczęła się przechadzać, van Tinen zmilkł przestraszony wyrzeczonemi przez nią wyrazami.

— Nie dziwię się tej goryczy, jaka płynie z ust pani — rzekł — jednakże...

— Tak, masz słuszość — przerwała — gdybym i ja nie miała serca, nie miała czucia, nie bolała na krzywdę, a targowała się tylko o jej zapłatę, mogłabym mówić

inaczej. Mogłabym powiedzieć, że August ma najlepsze serce, że nie on winien, ale okoliczności: pierwsza zmarszczka na mej twarzy, znudzenie po tylu latach pożycia, moje gniewy i gwałtowności tak bezprzyczynne!! Boć powinnam była śmiać się z Duval, cieszyć, gdy Duparc przyjechała, i niewiele więcej warta Denhoffową wziąć za przyjaciółkę! Nieprawdaż, kochany szambelanie? Nie korzystałam z dobrych przykładów, jakie mi dawały pani Haugwitz, Aurora, Esterle i Teschen, chodzące z sobą pod ręce na lipskim jarmarku!! w takiej zgodzie serdecznej!!

Śmiała się spazmatycznie.

— Ja widocznie stworzoną nie byłam do tak dobrego towarzystwa... — dodała — nie umiałam się znaleźć, nie rozumiałam świata ani ludzi: winnam sama sobie. Sądziłam, że w piersiach są serca, że w duszy są sumienia, że miłość nie jest rozpustą, że przyrzeczenia są święte, i że królowie słowa dotrzymują. Wszystko to były złudzenia moje, winy moje i grzechy. Dlatego, gdy tamte szczęśliwe... ja umieram z upokorzenia, z tęsknoty, ze wstydu.

Van Tinen, słuchając tych wyrzekań, które, z ust cudnie pięknej kobiety wychodząc, wrażenie na nim czyniły mimowolne, przejmujące, uczuł się poruszonym, zmieszanym, zawstydzonym. Spojrzała nań Cosel z politowaniem.

— Słuchaj — rzekła, zbliżając się do niego — wiem, czuję, żeś ty tu nie przybył przez litość dla mnie, przez ciekawość dla siebie, ale z rozkazu.

— Pani!

— Nie przerywaj mi, słuchaj! Ja ci to przebaczam

— kończyła — wam wszystkim idzie o to więcej, abyście zrobili karierę, niż byście ludźmi byli. Powtórz im, coś słyszał ode mnie; niech znają głęb mojej duszy: między nimi a mną wszystko zerwane. A jeśli chcesz się zasłużyć, dodaj, żeś słyszał ode mnie, z żywych ust hrabiny Anny Cosel, iż tak jak niegdyś zapowiedziała królowi, że mu niewierność i zdradę zapłaci śmiercią, tak jeszcze dziś powtarza. Za rok, za dwa, za dziesięć, pierwszy raz, gdy spotkam Augusta, w łeb mu strzelę. Noszę pistolet przy sobie, nie rzucę go nigdy, aż nabój dla niego przeznaczony wyleci. Powiedz im i to, panie van Tinen.

Van Tinen pobił się śmiertelnie.

— Pani hrabino — zawołał — jest to w istocie zmuszać uczciwego człowieka do zdrady. Posądzasz mnie pani niesłusznie, ale ja zostaję w służbie króla polskiego, jestem jego szambelanem, przysięgłem mu na wierność. Tego, co słyszę z ust pani, nie mogę już nie powtórzyć! Muszę! pani to powtórzysz sama innym, pochwalisz się tem, żeś mi także w oczy rzuciła tę groźbę. To nie dworactwo już, ale obowiązek każe wyznać.

— Alboż ja ci bronie? — zapytała Cosel — ja cie o to proszę. Nie będzie to rzeczą nową; August to pamięta.

— Ale to posłuży nieprzyjaciółom, których pani nie brak, do nowego spiknięcia się na jej zgubę: to da im oręż w ręce.

— Alboż im brak oręży? — przerwała. — Jeden mniej, jeden więcej, nic nie znaczy. Kłamstwo, powtarz, zdrada, im wszystko dobre. Czyż, gdybym nawet była pokorną, uszlabyłam prześladowania? Podli czują we mnie istotę, co ich podłości nie znosi, nikczemni mają we

mnie wroga... moja uczciwość jest dla nich wiecznym wyrzutem ich podłości. Jakże mogą przebaczyć kobiecie, co się tak jak oni skalać i bezcześcić nie chciała?

Śmiech spazmatyczny towarzyszył tym wyrazom. Van Tinen stał jak na mękach.

— Widzisz — dodała — taką jestem dziś, jaką byłam w szczęściu. Nie zmieniła mnie niedola, roztworzyła tylko duszę skrwawioną: nie więcej.

W czasie tej rozmowy oczy jej piękne to szklily się łzami, to osychały od ognia, co się w nich palił; van Tinen patrzył w końcu, zapomniawszy swej roli, jakby na niezrównaną artystkę ze starożytnej tragedii greckiej. Miała w sobie Cosel wszystko, co stanowi Medeę, co ideał święty wcielić może w rzeczywistość. Współcześni ze zdumieniem, jak van Tinen, nieraz wychodzili poruszeni jej wymową i pięknnością promieniającą.

Gdy zamilkła, szambelan długo nie mógł się także oderwać z wlepionymi w nią oczyma, zdawał się walczyć z sobą.

— Nie mogłaś mnie pani boleśniej upokorzyć niczem nad to wyznanie — rzekł — wystawiłaś mnie na próbę. Na cóż mam to kryć przed nią? jestem królewskim sługą, gdy powrócę z Berlina, spytanym będę; na pytanie kłamstwem odpowiedzieć nie mogę: rzecz jest zbyt wielkiej wagi. Słowa moje pochwyczone zostaną i w sumieniu mem będę cierpiał, żeś się do jej nieszczęść przyłożył.

Van Tinen w tej chwili był szczerym.

— Nikt w świecie do mojego nieszczęścia nie może już nic dodać — odezwała się Cosel. — Myślisz, że boleję nad utratą pałaców, znaczenia i łaski? Nie! nie!

MUSEUM
JIK
ROMANOWY
1474

mnie boli to, że w żadne serce ludzkie uwierzyć już nie mogę, że widzę podłość wszędzie, że sama sobą się brzydzę i sobie nie wierzę sama! Daj mi jego serce napowrót — zrzeknę się korony świata. Jam go kochała! całe życie moje w nim było... on mi był bohaterem, on mi był bogiem na ziemi: bohater stał się poliszynelem, bóstwo zmasało się kałem... a więc plugawy świat! i życie ohydne!

Szambelan starał się ją pohamować: płakała.

— O, moje sny złote! o, moje marzenia dziewczę, gdzieście się rozwiały!! niema was... niema!

— Racz się pani uspokoić — przerwał coraz mocniej wzruszony i pomieszany posłaniec — nie uwierzysz pani, jak mnie boli, że był powodem rozżalenia jej, że moje przybycie...

— Niceś nie winien — odparła Cosel — pokazałam ci rany, ale dawno je noszę, a każdy dzień je powiększa. Jeśli cię pytać będą, nie szczędź tej niepocziwej Cosel.

Van Tinen nie mógł powstrzymać się dłużej, litość wzięła nad nim górę.

— Zaklinam panią — odezwał się — uchodź stąd... więcej powiedzieć nie mogę.

— Jakto? — spytała Cosel — czy i tu mnie jeszcze co zagraża? Czy król Fryderyk pruski wydałby tak kobietę na męczarnię, jak król polski Patkula? Powinien przecież pamiętać, że jemu odmówiono Böttigera, gdy się o niego domagał?

Van Tinen stał milczący: zacięte usta świadczyły, że więcej powiedzieć nie mógł.

— Dokąd uciekać? — szepnęła sama do siebie —

ziemi braknie... ja daleko żyćbym nie potrafiła, tam mnie jeszcze serce ciągnie... niech zresztą zrobią już ze mną, co zechcą. Życie mi zbrzydło. Odebrali mi dzieci... nie mam nic prócz żółci, którą się karmię.

Szambelan, chcąc zakończyć tę scenę, której nie przewidywał, pochwycił za kapelusz.

— Żal mi pani szczerze — rzekł — lecz zdaje się, że dopóki trwać będziesz w tych usposobieniach, nikt w świecie ani uratować, ani na los jej wpłynąć nie może: wszyscy przyjaciele hrabiny...

To wyrażenie ją rozśmieszyło.

— Moi przyjaciele? a policzcie mi ich, kochany panie van Tinen — odezwała się żartobliwie.

— Masz ich pani więcej, niż sądzisz — rzekł gość — ja pierwszy!

— A! pan pierwszy! prawda — dodała — takich, jak pan, wielubym naliczyć mogła. Przynajmniej trzech czy czterech, co mi się ofiarowali pocieszać nieszczęśliwą wdowę, aby z nią podzielić owe ogromne łupy, z których mi wkrótce nic nie pozostanie. A! takich! takich!! — rzekła wzgardliwie.

Van Tinen był tak zmieszany, iż nie umiając nic odpowiedzieć już, uklonił się zlekka i, ścigany czarnymi oczyma Cosel, wyszedł powoli z pokoju.

II.

W Dreźnie dawnym obyczajem szło życie u dworu, zabawy były jego ostatecznym celem. Poważne strony życia dostarczały tylko do nich powodów i sposobności, materiału i żywiołów.

Król starzał, a wiek podeszlejszy, który wiele wyczerpał i zużył, stokroć jest do zabawienia trudniejszym. W młodości bawi to nawet, co smutnemby być powinno, później rozrywka staje się posępna, wszystko czczem i pustem. To, w czem dawniej człowiek widział ziarno, przemienia się w pustą lupinę. August też był coraz do zabawienia trudniejszym. W pierwszych jego płochych amarach było coś choć chwilowo przypominającego serce, w ostatnich bawiły się tylko zmysły, — czcza galanterya francuska ze swą jedwabną, złotem naszywaną sukienką.

Zabawy następowały coraz wytworniejsze jedne po drugich, a po nich król ziewał i znajdował, że teraz nie miało smaku, siły, barwy ani woni. Gniewało go, cokolwiek błogi ten spokój szeregu bezmyślnych rozry-

wek przerywało, co mu przeszkadzało śmiać się, gdy brytany brały zrozpaczonego niedźwiedzia, lub patrzeć, jak biedny jeleni miotał się w przedśmiertnych męczarniach.

Były to także ulubione rozrywki, w które już młodziuchnego syna zaprawiał, a zdawało mu się to rycerską zabawą. Widok krwi dodawał smaku innym widowiskom, stanowił kontrast z obrazem słodkich uśmiechów niewieścich, skoków baletniczych i pieszczącej ucho włoskiej muzyki. Aby się napawać melodią, dobrze było wprzód w dziki ryk zwierzęcia się wsłuchać.

Nieprzyjaciele Cosel pracowali około króla pilnie. Unikał on o niej wspomnienia, dawał do zrozumienia, że niechętnie o niej słyszy: nie to nie pomagało. Zawziętość ubierała się różnie, najczęściej w pozorną obawę o króla, o jego bezpieczeństwo, o drogi spokój pański. Malowano kobietę nieszczęśliwą jako niebezpieczną.

Oddalona, swobodna, mająca w ręku środki potężne, bo wiadano, że znaczne z sobą sumy uwiozła, mogła się stać groźną.

Flemming, Löwendhal, Watzdorf, Lagnasco, Vitzthum, nie pytając króla nawet, ślali szpiegów i kreślili plany, jakby ją pochwycić, a korzystając z tego, owe skarby, jak po Beichlingu, rozszarpać.

Jednymi zemsta, drugimi kierowała chciwość. W czasie swojego panowania Cosel nie zaszkodziła z nich nikomu, wielu z nich jej byli winni wyniesienie się swoje i swobodę. Jej zawdzięczał kanclerz Beichling, że mógł resztę życia na wsi, w marzeniach, projektach i alchemicznych doświadczeniach przepędzić; Löwendhal przez nią był polecony królowi. Z pochlebców bez liku, nie pozostało ani jednego przyjaciela. Jeden Haxthausen miał

odwagę nawet przeciwko radom Flemminga do końca dotrwać wiernym i nie zdradzić nieszczęśliwej; jeden Friesen nie wziął jej za złe odmowy posiłków i zachowywał się neutralnie: reszta, pomimo że czas już sam winien był te uczucia ostudzić, nie miała pokoju, ażby ją zgubiła.

Jątrzone więc króla codzień, nieustannie.

Gdy van Tinen powrócił z Berlina, pod wrażeniem pięknych oczu Cosel zrazu walczył z sobą. Żał mu jej było. Nie pokazał się na dworze, ale go Löwendhal wyspiegował i zawezwał do siebie.

— Jakżeś ją znalazł, mów — zawołał — zdaje się nam wszystkim, iż król zachował dla niej dotąd pewną słabość. To jest rzecz niebezpieczna... Nam daleko z Denhoffową i Pocielową jest lepiej. Te ani się do rządów mieszają, ani mu ludzi stręczą, ani chcą panować. Prawda, że ogromnie króla kosztują, i on sam mówi, że nigdy tyle Cosel nie wymagała, ale koniec końcem, nam z tem lepiej. Cóż Cosel? Ma jeszcze nadzieję powrotu? mówi odtąd o przyrzeczeniu ożenienia? odgraża się, że strzeli?...

Van Tinen smutnie na to odpowiedział:

— To pewna, że nieszczęśliwa kobieta.

— Nieszczęśliwa! sama sobie winna! Trafiły się jej najlepsze partye, najwierniejsi sprzymierzeńcy, oszalała na tem przyrzeczeniu ożenienia, sądzi się ciągle królewską żoną, niemal królową... czy i dotąd?

— Tak się zdaje, bo w niczem mi się nie widzi zmiany — rzekł van Tinen.

— Ale mówże wyraźniej, opisz, coś widział — nalegał Löwendhal.

— Przyznaję się wam, iż to, com widział i słyszał, serce mi zakrwawiło. Zawzięta jest, gniewna, nie przebaczy nigdy; ale w nieszczęściu swem wzbudza uszanowanie; jest doprawdy cudowną, jest wielką.

— Więc tem niebezpieczniejszą — dodał, śmiejąc się, Löwendhal — ale zbrzydnąć musiała?

— Zbrzydnąć? — pochwycił pierwszy — piękniejszą jest, niż kiedykolwiek była: ani śladu łez, ani bólu na tej marmurowej twarzy. Od lat ośmiu najmniejszej zmiany w świeżości, najłżejszej zmarszczki: promienieje młodością.

— Tem gorzej — powtórzył Löwendhal — tem gorzej; król mógłby ją zobaczyć, a po zwiędłej zawczasu twarzyczce Denhoffowej znowuby na nim mogła zrobić wrażenie.

— Niewątpliwie — potwierdził van Tinen — bo je czyni na każdym.

— Mówiłeś z nią?

— Tak jest, a raczej ona mi się wylała z całą gorczyzą.

Powoli dał z siebie wyciągnąć szambelan, co marszałkowi wiedzieć potrzeba było i donieść, zwiększając, Denhoffowej. Jakkolwiek płocha i lekkomyślna, jakkolwiek złośliwa, bojaźliwa o siebie i bronić się pragnąca na wszelki sposób, Marynia Denhoffowa tak bardzo złą nie była, żeby kobietę nieznaną, biedną, której największą krzywdę już wyrządziła, chciała pozbawić ostatka swobody. Przykrzyło jej się to naleganie nieustanne i postrachy, byłaby się opierała może, gdyby nie pani Bielińska, która zmuszała ją być ze wszystkimi dobrze i nie

sprzeciwiać się faworytom króla, aby swe panowanie przedłużyć.

Löwendhal tegoż dnia stawiał się u pani Denhoffowej, wybrał godzinę, gdy sama była z siostrą, i począł od pochlebstw, które obie lubiły. Z wielką zręcznością, niby nieumyślnie, przeszedł do porównania obecnego czasu z dawnym; mówił wiele o Cosel, i zakończył tem, że miano o niej wiadomość.

Denhoffowa zapytała:

— A cóż się z nią dzieje?

— Siedzi w Berlinie, pod opieką króla pruskiego, i używa danej sobie swobody, żeby nas, króla, dwór i wszystko, co się tu działo i dzieje, w najszkaradniejszych malować kolorach. Jest to niewdzięczność czarna, aleśmy do niej nawykli.

— Zresztą — dodał Löwendhal — mniejszaby o to, gdyby zawsze nie powtarzała swego, że przy pierwszym spotkaniu królowi w łeb strzeli!

Denhoffowa porwała się z krzykiem z kanapki, na której siedziała, zakrywając oczy... Pani hetmanowa ruszyła ramionami tylko.

— Ktoby się tam tego lękał, albo na to uważał — zawołała — to są brawady bezsilne.

— Takby się zdawać mogło, gdybyśmy pani hrabiny nie znali — przerwał Löwendhal — szczególniej ja, który mam nawet zaszczyt być jej krewnym. Jest to kobieta, która nigdy nie próżno nie mówi.

— Szczerściem niema żadnego podobieństwa, ażeby się kiedykolwiek z królem spotkać mogła — dodała Pocijowa.

— Jakto? czyż pani sądzi, że ona czekać będzie

sposobności a nie szukać jej? Wszak tak samo jak potrafił raz wkraść się na maskaradę, może się dostać przebrana do Drezna, czekać na króla choćby w ulicy.

— A! tak! tak! — poczęła gorąco Denhoffowa — ja przeczuwam niebezpieczeństwo. Król jest nieuważny, tę kobiecie należy... ja nie wiem! cóż z nią zrobić?

Löwendhal ruszył ramionami.

— Kto woli swej używać nie umie, temu ją odebrać należy i uczynić niewolnikiem. Rozumie pani?

Obie kobiety zamilkły, obu przyszło na myśl, że to, co teraz spotkać miało Cosel, mogło później być Maryni udziałem. Marszałek Löwendhal zdał się tego domyślać i dodał:

— Najjaśniejszy pan nigdy dla osób, które chociaż krótko kochał, nie był surowym; świadkiem te panie, jakieście tu spotkać mogły; ale są wypadki...

Na tę naradę nadeszła najzręczniejsza z nich, matka, pani marszałkowa Bielińska; pomimo wieku już dobrze dojrzałego, ubrana z wielką pretensją, przeglądająca się we wszystkich zwierciadłach, poprawiająca coś około fryzury nieustannie i piękne białe ręce okryte pierścieniami wystawująca chętnie na uwielbienie. Powitała Löwendhala z uprzejmością poufałą, z uśmiechem, i popatrzywszy po córkach, wpadła z jednego schwyconego słówka na tok rozmowy.

Denhoffowa wtajemniczyła ją w te obawy, które przyniósł z sobą przyjaciel domu; tam, gdzie szło o córki, dla marszałkowej nikły wszelkie względy: litościwa w innych razach, stawiała się mściwą i gniewną. Córki tutaj

były całem jej mieniem i przyszłością: co im zagrażało, doprowadzało ją do szaleństwa.

Wysłuchawszy opowiadania, uniosła się.

— Ale bo też szczególne zachowują względy dla prawdziwie szalonej kobiety! Król jest nadto dobry! Wyzywa go, urąga mu, sama winna będzie, jeśli sobie ciężki los zgotuje. Temu raz koniec położyć należy.

Marynia miała króla przestrzedz... złożono to na nią: lecz po namyśle marszałkowa znalazła, iż ona tego dobrze nie potrafi uczynić.

Postanowiono więc, aby ona tylko zagaiła, a marszałkowa sama wymownie dokonała reszty.

Löwendhal, w tak dobre ręce powierzwszy sprawę swej zemsty, odszedł.

Wieczorem zabawa była w ogrodzie Hesperyd. Tak się naówczas zwał podwórzec Zwingu, świeżo, wspinał się i z przepychem królewskim dokończony: była to mała cząsteczka jakas olbrzymiego pałacu królów, który miał doń przytykać. Ogród urządzone był obyczajem i smakiem wieku, w kwatery kwiatów poobsadzone bukszpanem, z wodotryskami, grotami i bogatą mitologiczną figurą ozdobą. Wieczorem rozsypane lampy i kolorowe latarnie czyniły go piękniejszym jeszcze, niż we dnie. Z drzew poustawiane gaje pomarańczowe, w których przygotowane siedzenia, dozwalały parom przechadzającym się używać spoczynku w cieniu i ukryciu. Na balkonach galeryi, otaczających dokoła Zwinger, grały muzyki, a melodye ich rozechodziły się daleko z lekkim wiatrem wieczora. W pośrodku ogrodu rozbity namiot, jaśniejący całą iluminacją, stanowił salę improwi-

zowaną, w której po wieczerzy miały się odbywać tańce.

Król przybrany był cały w niebieskie jedwabie ze srebrem i białe koronki, a wyglądał młodo i chciał sobie snadź młodsze jeszcze pierwszych swych podróży po Europie przypomnieć lata. Denhoffowa także tego wieczora była w sukni blado-niebieskiej i w bieli, a było jej wcale do twarzy. Zmuszając się do wesołości, powitała króla, którego każdy bawić musiał, pod karą nielaski, i zaczęła od pustych zarcików. Część wieczora upłynęła na śmieszkach, do których Pocijowa dobrze pomagać umiała.

Pani hetmanowa i siostra jej były w jak najlepszej przyjaźni, a choć jedna o drugą mogłaby była być zazdrosna, nigdy tego uczucia oznaki najmniejszej nikt w nich nie dostrzegł. Hetmanowa, mała, delikatna, jeszcze na pozór węższa od siostry, daleko była wytrzymalszą od niej. Polska i Saksonia naówczas zdumiewała się owej sławnej komedii podróży jej z Friesenem z Warszawy do Gdańska i napowrót, odbytej z takim pośpiechem, iżby pocztyliona znużyła. Pocijowa ani dnia po niej nie potrzebowała spoczywać. Ona Denhoffowej w ciężkich rzeczach pomagała przy królu w rozmowie, w naprowadzaniu jej, na co była potrzeba, i tego dnia podjęła się wreszcie z rozkazu matki wtrącić coś o Cosel.

August był zmęczony i chmurny.

Hetmanowa wtrąciła coś, że dawniej za czasów hrabiny bawił się łatwiej i z większą ochotą, że może tamtej żałować.

Pelen grzeczności król odpowiedział żywo, iż w to-

warzystwie tak miłych i pięknych dam nie żałować i o niczem pamiętać nie było podobna.

Denhoffowa pochwyciła tę sposobność, by, ujawszy go pod rękę, zacząć coś prawić o Cosel; lecz, jak zwykle, wywiązała się z tego wcale nieszczęśliwie, gdy w pomoc jej czatująca nadeszła matka: naówczas obie poczęły lament z tematu hrabiny.

Królowi się to widocznie nie podobało; spuścił głowę i nie nie odpowiadał. Chwila była, w której obie kobiety strwożyły się; wyszedł jednak z tego zamyślenia i odezwał się żywo:

— Kochana hrabino, chciej być o mnie spokojną; czuwa nade mną wielu proszonych i nieproszonych stróżów i nic mi uczynić złego nie dadzą. Nierad mówię o tem; chodźmy i wmieszajmy się do tańca.

Zamiar przypuszczenia szturm do Augusta spełził tedy na niczem. Flemming i Löwendhal powtórzyli po wieczerzy przy kielichach to, co te panie zaczęły niezręcznie w ogrodzie Hesperyd. Tu swobodniejszy król dał im mówić i słuchał.

Jednakże olimpijska brew zmarszczyła się kilkakroć.

— Słuchaj, Löwendhal — rzekł szydersko — dajesz mi wprawdzie dowód wielki przywiązania do mojej osoby, ostrzegając przeciw hrabinie, która jest twą kuzynką i której winienesz to, czem cię zrobiłem; powinienbym ci być wdzięczny, a jednak powiem szczerze, stajesz się dla mnie dziwnym. Staranie o moje bezpieczeństwo zostawcie mnie, proszę.

Löwendhal umilkł, podstawił tegoż wieczora wprawdzie van Tinena, z opowiadaniem o Berlinie, ale król i tego słuchał z roztargnieniem, bo go nie lubił.

Rzecz, obrachowana na wielkie skutki, skończyła się na niczem.

Intryganci spostrzegli, iż należało innych użyć dróg i środków.

Jakkolwiek Cosel ustronne pragnęła prowadzić życie w Berlinie, zbyt była głośną jej piękność, jej sława, zbyt ciekawą osoba, zbyt głoszony dowcip, żeby wkrótce nie zaczęto ubiegać się o jej znajomość.

Większa część osób, otaczających dwór Fryderyka, znaną jej była z pobytu kilkakrotnego w Dreźnie. Nudzo no się tak bardzo jednostajnymi paradami wojskowymi, które król codziennie odbywał, i wieczorami u najjaśniejszego pana lub królowej, iż każdy spragniony był jakiejś rozrywki.

Król sam częściej bywał w Poczdamie lub Wusterhausenie, niż w stolicy, nie chybił nigdy zaciągu warty o dziesiątej godzinie, dawał potem posłuchanie ministrom, lub szedł na przechadzkę; o południu przyjmował wojskowych i cudzoziemców, potem zasiadał do skromnego stołu z królową i rodziną, pracował po południu w gabinecie i nie ukazywał się na pokojach, aż wieczorem. Tu przybywała królowa, kilka dam, kilkunastu oficerów, czasem zaproszony ktoś obcy; grywano w pikietę, lombra i tryktrak i palono tytoń; tak schodził czas w dosyć poufałym ale też i nudnym kółku do jedenastej: o tej godzinie wszystko się kończyło zwykle urzędownie. W niebytności króla przyjmowała co wieczora królowa o siódmej u siebie i zapraszała czasem kilka osób na wieczerzę. Nie urozmaicało nic tego toku życia, chyba nader skromny wieczorek w mieście u którego z dygnitarzy. Weale to było niepodobne do szumnego Drezna, z którego się też

tu śmiano po cichu, a nadewszystko z rycerskich i wojskowych zabaw Augusta, których nikt tu nie brał na seryo. Wojsko saskie, przyodziane w złoto, galony, lamy i pióra, nie mogło się ani porównać z pruskim, w jednakowych niebieskich mundurach zaszytem, mało strojnem, w którym czerwony mundur huzarski i trochę galonu stanowiły całą ozdobę; oficerowie nawet od żołnierzy mało się różnili ubiorem. Zamiast wymyślnych chorągwi, powiewała tu wszędzie jedna biała, z dumnem nad leżącym orłem godłem: *Nec soli cedit!* Naówczas dewiza wydawała się nieco zuchwałą, przyszłość ją wszakże usprawiedliwiła.

Nie było na świecie dwóch charakterów mniej do siebie podobnych, sprzeczniejszych i mających większe prawo do wstępu wzajemnego do siebie nad Fryderyka pruskiego i Fryderyka Augusta polskiego. Od czasu jak pewien wybryk nieprzyzwoity panna von Pannevitze wypłacała królowi... policzkiem, nie spojrział pono nigdy na kobietę i był najwierniejszym z małżonków, a rodzinę swą trzymał w tak ciasnych karchach i życie wiodł tak oszczędne, iż od jego stołu wstawalo się zwykle nie tylko trzeźwo, ale głodno.

Porządek w państwie, w mieście, w domu, w wojsku, posunięty był do pedantyzmu; srogość i surowość niekiedy do bezlitości: obyczaje musiały być spartańskie, bo tu wszystko szło, jak z góry przykazano. Szlachta próbowała wprowadzić nieco się opodatkowaniu opierać, ale Fryderyk zapowiedział jej z góry, że jego władza, jak skala z brązu, nie da się pożyć niczem.

Przed jedzeniem odmawiano modlitwy, stół był mieczański, a o balach na dworze nikt nie myślał. Jada-

no na glinie, a gdy obcych trzeba było przyjmować, do-
bywano srebra ciężkie, które nazad szły do skrzyń
nazajutrz.

Miewał król fantazye, lecz wcale innego, niż August
rodzaju. Po odejściu królowej od stołu, po chudej wie-
czerzy, zbierali się poufali do „tabacznego kolegium“,
to jest do izby, w której król fajkami częstował. Przy
fajkach wiele było wolno, a najpierw zabawiać się, bio-
rąc którego nieszczęśliwego na zęby. Padał ktoś zawsze
ofiara. Pośrodku sali stał prosty stół, który obsiadali
w wielkich mundurach ministrowie, generałowie i czasem
obcy goście. Dawano wszystkim holenderskie fajki, czy
kto chciał palić, czy nie, i stawiano przed każdym kufel
duksztyńskiego piwa. To było całe przyjęcie, bo na ko-
sztowne wina nie myślał się król rujnować. Upoić pi-
wem i tytuniem było wielką dla króla pociechą. Wy-
śmiewać uczonych, arystokrację, urzędników... główną
zabawką. Żarty po piwie czasem prebierały miarę, gdy się
w Wusterhausenie mieszały do nich niedźwiedzie, a pod-
szczuci zapaśnicy kuflami bić się zaczęli; lecz zawsze
to jeszcze nie dochodziło do ostateczności: odchorowy-
wało wielu, rzadko kto umierał.

Na wielkie święta urządzano dysputy w tabacznym
kolegium i zadawano jako temat, że uczeni są głupcami.
Morgenstern stawał na katedrze w niebieskiej aksamitnej
sukni z czerwonymi obszlegami, haftowanej w zające,
w czerwonej kamizelce, w peruce omal niespadającej do
kolan i ogonem lisim u boku zamiast szpady. Godzinę
prawił i to króla bawiło niezmiernie.

To były jedyne dworu pruskiego zabawy. W Dreźnie
wyśmiewano się z Berlina, w Berlinie Drezno miano za coś

sąsiadującego z piekłem, bo Fryderyk polski nie wie-
rzył w nic, a pruski po swojemu był pobożny.

Raz, gdy przy wieczerzy nowo-przyjęty kamerdyner
z obowiązku czytał modlitwę i przyszedł do wyrazów:
„Niech cię Bóg błogosławi“, zdało mu się przyzwoitszem
obróconemu do króla, przeczytać: „Niech was Bóg bło-
gosławi“. Nie podobalo się to królowi: „Huncwocie, czy-
taj, jak napisano — zawołał — przed obliczem bożem ja
taki jestem huncwot, jak i ty“.

Po zabawkach w tabacznym kolegium, po chudych
dworskich obiadkach, których własna córka króla opis
nam zostawiła, niejeden zapragnął innego towarzystwa,
trefniejszych żartów, rozmowy wytworniejszej. Znajomi
hrabiny Cosel zaczęli czasem do niej przybywać; znudzo-
na kobieta otworzyła drzwi dla garstki tej gości i po
cichu wieczorami zbierało się czasem z dworu osób kil-
ka... cichutko, skromnie, bo w Berlinie hałasu robić ni-
komu nie było wolno.

Król Fryderyk, choć pewnie o tem był uwiadomiony,
bo wiedział dobrze o wszystkim, co się u niego w sto-
licy działo, nie mówił nic. Ośmieliło to kilku młodych
dworaków, kilku wojskowych do odwiedzania hrabiny.
Zwykle przychodzili przed wieczerzą, a że ona sypiać
nie mogła i do pierwszej siadywała, gawędzono dobrze
za północ. Drzwi potem otwierały się po cichu i goście
rozchodzili się do domów. Nie mogła Cosel posadzać kró-
la, pod którego schroniła się opiekę, o wielką miłość
dla Augusta; zbyt wielkie były ich życia i charakterów
różnice; nie wystrzegano się więc wcale w rozmowach
mówić o Dreźnie, co niechęć ku niemu dyktowała.

Przynoszono tu plotki, które stamtąd dolatywały, a

hrabina nie kryła niechęci swojej dla płochego Augusta. Niejedna wiadomość ciekawa dostała się stąd przez młodych, idąc do starych, aż do tabacznego kolegium, gdzie ją królowi w kłębach dymu przy piwie do ucha podano. Naówczas uśmiechał się król Fryderyk, ale głową dziwnie potrząsał i zdawał się dziwić, że Cosel była tak śmiała, bo na pozór wielką miłość i szacunek wyznawała dla wspaniałego sąsiada.

Pewnego wieczoru, gdy się zwykli młodszy goście zebraли u Cosel, niespodziewanie przywłókł się i stary generał, należący do tabacznego kolegium. Ostudziło to w młodszych zapał do swobodnej rozmowy, ale nie powstrzymało Cosel od powieści zwykłych i wymysłań na króla.

Stary generał głową potrząsał i słuchał, dziwić się zdawał i nie dowierzać. Dosiedział tak do północy i dłużej, a gdy się inni wynosili, pozostał nieco. Zdziwiło to trochę Cosel.

Stary, który mówił mało, zbliżył się do niej, żegnając ją z wielkiem uszanowaniem.

— Pozwoli mi hrabina uczynić jedną małą uwagę — rzekł ochryplym głosem — bardzo się u niej przyjemnie czas przepędza, ale choć drzwi zamknięte i okna, dużo stąd wychodzi na ulicę. Lada wiatr to zanieśie nad Elbę; zmarszczy się najjaśniejszy nasz sąsiad na naszego króla, że tu pod jego boki takie się rzeczy prawić mogą na jego dobrego sąsiada i sprzymierzeńca: królowi-by to było markotno.

Cosel zmarszczyła się.

— Jakto? — spytała — więc u was w domu własnym,

między czterema ścianami nie wolno mówić, co kto ma na sercu?

— Mówić wolno — rzekł generał — ale, powiedziawszy, można gdzie pojechać, choćby się nie życzyło.

— Jakto! i ja?

— Kochana hrabino — rzekł, wzdychając, stary generał — nawet wamby się to mogło przytrafić. U nas tu rygor wojskowy we wszystkim... kraj to taki i porządek... Jabym wam radził grać w tryktrak lub pikietę, bo to rzecz zabawna, a za to niema biedy.

Cosel spuściła główkę smutnie.

— Myślicie, że ja to mówię jako stary gdęra, któremu się coś przywiduje. A! nie, wiercie mi, że może mi kto szepnął, abyście byli ostrzeżeni.

To mówiąc, wyszedł generał powoli, a hrabina padła na kanapę, szydersko uśmiechając się sama do siebie.

Nie usłuchała jednak przestrogi, a gdy poufałe zebrało się towarzystwo, mówiła wiele, głośno, jakby wyzywając do tej surowości, której się spodziewała.

Pewnego poranku zjawił się u drzwi domu generał gubernator miasta Berlina, Wartesleben. Grzecznie pokłonił się hrabinie, uśmiechnął, pokręcił wężą, a potem zapytał: — czyby to prawdą było, że hrabina życzyła sobie zmienić rezydencję i w spokojniejszym zakątku w Halli zamieszkać?

— Ja, w Halli? — zdumiona przerwała Cosel — a cóżbym ja robiła w Halli?

— Wie pani, powietrze tam jest bardzo zdrowe, widoki piękne, spokój wielki, wygody wszelkie: nic przyjemniejszego nad pobyt w Halli.

Cosel nie wiedziała, co ma odpowiedzieć zrazu; słu-

chała tych pochwał, coraz bardziej zdziwioną niemi się okazując.

— Ale ja nigdy w życiu nie miałam myśli jechać do Halli.

— Rzecz to jest dziwna — odpowiedział Wartesleben — najjaśniejszemu panu ktoś o tem oznajmił i król wydał rozkazy, ażeby tam pani wszelka opieka była dana. Rozporządzenie króla to rzecz nieodwołalna, więc najlepiej już pojechać do Halli.

Nie mogła długo słowa przemówić Cosel, patrzała milcząca; łzy popłynęły z oczu; załamała dłonie.

— To więc jest rozkaz — odezwała się w końcu — to wygnanie nowe... za co?

— Król sądzi, że tam pani będzie lepiej. Hrabina wie, tu w ulicach Berlina łatwo się echo rozchodzi. Każde słowo odbrzmiewa, sięga daleko; tam... w Halli nikt nie usłyszy i większa panuje swoboda.

To mówiąc, powstał.

— Hrabina może nie jutro, ale nawet pojutrze wyjeżdżać rano — dodał. — Czas jest piękny, a podróż można odbywać powoli. Lecz że drogi niezawsze bezpieczne, król jegomość ofiaruje jej kilku ludzi eskorty, którzy aż na miejsce odprowadzą. Jest to z jego strony galanterya bezprzykładna. Za to powinna mu być pani wdzięczną.

General Wartesleben skłonił się bardzo grzecznie raz i drugi, i wyszedł, zostawiając hrabinę osłupiałą.

Raz, który ją tu dosiagli, nie myliła się, ręka z Dreżna wymierzyła. Chciano ją zmusić do milczenia, do poddania się losowi, do ulegania niedoli; oburzał w niej

duch nieugięty, a każdy pocisk taki nową w niej energię pobudzał.

Tegoż dnia hrabina kazała pakować powozy, najmować konie i wierny Zaklika z nawieszoną brwią, wzdychając, pracował znowu, nie śmiejąc rzec słowa.

Gdy Cosel siadać miała do powozu, kupka ludzi zbiegła się pod jej dom, a widząc tę piękną w czerni kobietę z podniesioną głową, majestatycznym postępującą krokiem do powozu ostawionego konnymi, ludzie strwożeni rozeszli się po cichu i zdało im się, że spojrzeli na ofiarę, wiezioną na rusztowanie.

III.

W ciasnej uliczce miasta Halli, w niepokąznym mieszczkańskim domu, nieopodal od gmachu, w którym sobie niewiele wymagający kupcy tutejsi i obywatele wydawali bale, w oknach pierwszego piętra, od niejakiego czasu dziwne zjawisko zwracało oczy przechodniów.

Była to kobieta. Całe dni siedziała w tem oknie i patrzała w niebo oczyma, które nic nie widziały, a postawa jej, rysy, wyraz twarzy, piękność anielska, smutek, co się na niej malował, zwabiały tłumy ciekawych.

Nikt w Halli nie znał tej kobiety, od niedawna zjawiała się tak w tem oknie smętna, zadumana, nieporuszona, obudzając litość i zdumienie. Całej historii nie-szczęścia jakiegoś poza tą chwilą domyślać się było można.

Siedziała dziwnie zamysłona, nieprzytomna: wzrok jej nie spadł nigdy w ulicę na przechodniów, nie zbliżał się na twarz ludzką: patrzała gdzieś w przeszłość, czy przyszłość. Czasem tylko, gdy tłum się zebrał, gdy

zaszemrał, gdy młodzież szeptać zaczynała głośno, uciekała od okna strwożona.

Drzwi tego domu stały zawsze zamknięte, nie miała znajomych, nie odwiedzał jej nikt; służa przynosiła jej z sąsiedniej garkuchni jedzenie, niekiedy tylko młody, pięknie ubrany mężczyzna pukał do drzwi, targował się o wnijsie. Puszczano go na krótko i smutny nazad odchodził. Studenci zwali go kochankiem pięknej nieznajomej, ale on nań nie wyglądał.

Nie było wówczas w Halli mowy o czem innem, prócz o tem cudnem zjawisku. Tak była piękna ta kobieta, taki wyraz smutku głębokiego miały jej oczy, taką zagadką była ta wielka pani ukryta w ubogim domku. Každy bowiem domyślał się w niej pani; pańską tchnęła twarz, a gdy przestraszona odskakiwała od okna, ruchy jej zdradzały nawykłą być i pokazywać się piękną kobietą. Z królewską powagą rzucała się szpiegowana w głąb pokoju i długo potem nie widać było nic, oprócz białej firanki.

Gospodarz domu pytany ostrożnie, gospodyni natarczywie badana przez sąsiadki, służa nawet, na które nalegano datkami, miały usta zamknięte. Spytani oglądali się ostrożnie, bojaźliwie i mruczeli, ruszając ramionami, że nic a nic nie wiedzą, że to była zdaleka, chora, obca jakaś niewiasta. Oprócz tych ciekawych jednak, przechadzał się czasami ulicą, to jakby przypadkowo zbłąkany żołnierz, spoglądając ku oknom, to jakiś człowiek nieznajomy, który tak wyglądał, jakby niedawno mundur jakiś z siebie zrzucił. Niekiedy nawet wieczorami pod przeciwnym murem zasiadali żołnierze i niepostrzeżenie w ciasnej uliczce spoczywali, jakby z przypadku,

choć im tam pewnie bardzo wygodnie nie było. Tą piękną nieznajomą, o której najrozmaitsze krążyły domysły, była hrabina Cosel; lecz jakżeż teraz zmieniona!...

Ostatnia podróż złamała męstwo kobiety, duszę jej napełniła trwoga, odjęła nadzieję. Smutną była do szalu, rozpaczającą do obłąkania, łzawą i nad wyraz biedną. Zemsta, co ją ścigała, była tak długą, nieubłaganą, nienasyconą, że po niej już się wszystkiego spodziewać mogła, nawet śmierci.

Z Berlina jeszcze mogła w początkach swobodna ratować się ucieczką: w Halli była już niewolnicą. Zaklika, który jej aż tu towarzyszył, doniósł nazajutrz po przybyciu, iż wszystkie wyjścia z domu były strzeżone, że Halla stała się więzieniem. On chodził jeszcze wolny, ona już krokiem ruszyć się nie mogła. Chciała do kościoła w niedzielę, widziała, jak ją krok w krok ścigano: wróciła. Gospodarz domu i gospodyni byli uniżeni i grzeczni, ale im wcale ufać nie było podobna. Dom ten usłużny urząd pruski wskazał i snadź się upewnił, iż w nim niewolnica będzie bezpieczną. Mieszczanin miał lisią twarz i kose wejrzenie, żona jego chodziła niema i blada, obawiając się słowa rozmowy.

Zaklika próbował się do nich zbliżyć, cofnęli się jak od zapowietrzonego. Drugiego czy trzeciego dnia oznajmiono szambelana van Tinena. Cosel ze wstrętem i oburzeniem kazała mu drzwi otworzyć. Wszedł nader skromny, smutny, zmieszany, jakby nie wiedział, co powie.

— Mów pan, z czem przybyłeś — odezwała się Cosel — bo wiem, że go tu nie litość sprowadziła, ale czyjeś rozkazy.

— Mylisz się pani — rzekł van Tinen — jedno i dru-

gie. Woląłem ja przybyć tu, niżby miano wysłać kogo innego, któryby mniej miał na jej nieszczęście względów.

— Nie miej pan względów — odpowiedziała Cosel — mów otwarcie; cierpię wiele, ale męstwo w sobie wyrabiam na wszystko jestem gotową.

— A! gdybyś pani gotową tylko była na jedno — odezwał się van Tinen — na trochę rezygnacyi i łagodności. Wszystkoby jeszcze dało się naprawić. Któż wie?

— Czegoż chcesz ode mnie?

Van Tinen westchnął.

— Ja-m posłaniec, z czem mi kazano, przychodzę: król wymaga od pani tego pisma, które jej dał niegdyś... przyrzeczenia...

— I sądzi, że mu je oddam, abym z żony spadła na pospolitą zalotnicę, którą mu odpędzić wolno, gdy się nią znuży? Kochany van Tinen — dodała spokojnie — jeśli po to tylko przychodzisz, jedź nazad i powiedz, że Cosel nigdy nie sprzeda swego honoru.

— Pani, na miłość Boga — począł przysłany — nie zarzekaj się! Możesz uporem swym sprowadzić największe nieszczęście, tak jak zwrotem tego kawałka papieru odzyskać możesz wolność... wszystko...

— Serce Augusta — szepnęła Cosel — a! nie! nie; nie wierzę w nie: niema go tam w tej piersi brylantami obasypanej, złotem opasanej, jak brylanty i złoto ostygłej. Nie odzyskam nic, bom na wieki co najdroższe straciła! nie wierzę w niego i w ludzi!

Powtórzyła mu tylko to, co mówiła ciągle. Van Tinen nie porzekał na tej próbie, siedział parę godzin,

nie mogąc nic z niej dobyć więcej, ale, litując się, pozostał dni kilka, dając czas do namysłu.

Każdego tak dnia przybywał, rzeczywiście litując się niedoli hrabiny; powtarzał pytanie, prośbę, nakłaniał, błagał, a ona z coraz większym odpowiadała mu chłodem:

— Tego papieru nie oddam, w nim honor mój, obro-
na moja i dzieci moich, które mi wydarto, cześć leży: umrę, ale on go mieć nie będzie.

Drugiego dnia już po przybyciu van Tinena, hrabina zawołała Zaklikę, który wyglądał teraz prawdziwie jak z krzyża zdjęty. Był to szkielet człowieka: żółty, blade, obciągnięty skórą sfałdowaną, straszny a niemy. Gdy spojrzał na ludzi, od tego wzroku, nienawiści pełnego, cofali się jak od groźby, czuć w nim było boleść, co szuka tylko pozoru, aby się stała wściekliwością.

Straszno było mówić w tym domu, niebezpiecznie dłuższą prowadzić rozmowę, by w niej zmowy nie posądzono. Zaklika przychodził i wychodził, niby coś posługując około sprzętów, coś wynosząc i z czemś wracając, i tak zrywana, rozbita toczyła się rozmowa.

Cosel powiedziała mu krótko:

— Nieprawda, wszak już jestem uwięzioną?

— Strzegą nas dookoła.

— A ciebie?

— Mnie dotąd nie.

— Trzeba, byś mnie porzucił i był wolnym.

Zaklika stanął i drząc począł cały.

— Ja? Was, panią? porzucił? a cóż ja zrobię z sobą? a gdzież się ja podzieję? a do czegoż życie przywiążę? więc chyba iść i w studnię... i umrzeć.

— Nie — odparła Cosel — to nie koniec mojej niewoli; ja go znam: to początek. Potrzeba, żebyś ty był wolnym, dlatego ażebyś mógł mnie uwolnić.

Rajmund się zadumał.

— Potrzeba? mów pani.

— Będiesz wiedział, gdzie się znajduje. Ufam ci, obmyślisz środki, postarasz się mnie uwolnić... Kilka tysięcy zostało, które Lehmann zachować potrafił; dam kartkę do niego, potrzeba, ażebyś je miał.

— Ale ja... — oburzył się Zaklika.

— Nie dla siebie; dla mnie trzeba, byś ty je miał.

Spojrzała nań: skłonił głowę posłuszny.

— Najprzód idź, spróbuj, pytaj, czy cię puszczą; zdradź mnie: mów, że mi służyć nie chcesz, aby ci dali wiarę. Zrób, co chcesz. Na piersiach nosisz mój skarb i poniesiesz go: ja ci go powierzam. Rozumiesz mnie, Zakliko?

Podawała mu rękę drżącą.

— Jednemu tobie wierzę! w tobie jednym ludzka dusza mieszkała. Nie zdradź mnie ty ostatni.

— Ja? — oburzył się Zaklika, i oczy mu tak dziko błysnęły, że się Cosel cofnęła. — Ja? — powtórzył i wstrząsł się. — Umrzeć mogę, ale zdradzić?

— Więc trzeba, żebyś ty był wolnym, bez podejrzenia wolnym... Idź.

Nie można było mówić długo, Rajmund wyszedł. Na jutro go pół dnia nie było. Powrócił wieczorem, prowadząc z sobą najętego sługę, i dziękował za służbę.

Cosel miała siłę odegrać scenę gniewu i wyrzutów, bo gospodarz i gospodyni słuchali pode drzwiami.

Odprawę odłożono do rana, Zaklika poszedł na mia-

sto. Wielka miłość dla tej pani, której życie był oddał, uczyła go tego, co najmniej umiał: chytrości. Poszedł do urzędu, wzywając rady i pomocy, mówił, że chciał się uwolnić, że się urodził polskim szlachcicem i nikt go wstrzymywać nie ma prawa.

Na to rozśmiał się pruski urzędnik, który wiedział, ile szlachty polskiej pochwytej na granicach chodziło pod karabinami pruskimi, ale mu nie powiedział nic. Może, gdyby nie blada twarz i schudzenie, byłby mu dla wzrostu i siły zaciąg do olbrzymów zwiastował; lecz Zaklika nędznie wyglądał, a odkarmić człowieka zbyt było może kosztownem. Tu się i z tem rachowano.

Puścić go więc się nie wahano i Zaklika konia kupował na targu. Wrócił jeszcze raz do Cosel, ale już go nie podsłuchiowano, wiedząc, że się klóci ze swoją panią, i że ją opuszcza.

— Jedź do Drezna — powiedziała, Cosel — głoś wszędzie, żeś mnie porzucił, i czekaj. Lehmann da ci pieniądze, trzymaj je w złocie, miej w pogotowiu. Usłyszysz, co się ze mną stanie. Jeśli będę wolną, przybądź do mnie, jeśli będę uwięziona, ratuj. Jeślibyś ściągnął podejrzenie, a pochwycić cię miano, papier, który masz przy sobie, podrzyj, połknij, ale go nie daj nikomu. Nie niszczyć go póty, póki iskierkę będziesz miał nadziei, że siebie i skarb mój ocalić możesz. W ostatniej godzinie — dodała, brwi marszcząc chmurno — zniszcz, niech zginie, jak ja ginę; ale niech oni nie wiedzą o tem, niech jak groźba i postrach wisi nad nimi, niech się lękają odkrycia: niech...

Słów i tehu jej zabrakło, podała mu rękę, którą Za-

klika, przykleknawszy, całował długo i płakał, ale nie wyrzekł i słowa.

Gdy dłoń tę od łez jego mokrą wyrwała Cosel, zalamala ręce i zawołała:

— Są jeszcze ludzie i serca!

Zaklika, jak pijany, jak nieprzytomny, wytoczył się z tego domu, którego drzwi się za nim zamknęły.

Nazajutrz przybywający van Tinen znalazł ją welszą, spokojniejszą, więcej zrezygnowaną.

Zdawało mu się, że, namyśliwszy się, może zwróci to przyrzeczenie, że się sama zlituje nad sobą; ale wprędce spostrzegł, że się mylił, tłómacząc tak jej uspokojenie. Cosel powiedziała mu, gdy wchodził:

— Mój panie van Tinen, jakże mi ciebie żal: nie będziesz w łaskach u króla, nie pokocha cię poczciwy mój kuzyn Löwendhal, nie upoi Flemming i nie dostaniesz ani tysiąca talarów! Ja jestem taka uparta, bezrozumna, szalona! nieprawdaż?

— Więc wszystkie moje starania daremne?

— Tak, mój kochany panie van Tinen — dodała, pierścień z palca zdejmując — żal mi cię, niefortunny bogów posłańcze; chciałabym, żebyś choć mej dobrej woli miał pamiątkę: przyjm ten pierścień. Świecił on tym szmaragdem lepszym życia mojego godzinom: nie zdał mi się dziś na nic! Przestał być pamiątką miłą, bolał mnie, jak rana na ręku. Weźmij go, proszę.

Van Tinen przyjął pierścień w milczeniu. Jeszcze próbował ją skłonić, jeszcze chciał mówić, Cosel się rozśmiała dziko.

— Oszczędźże sobie pracy a mnie nudy, mój kochany van Tinen; wiem co do słowa, co mi powiedzieć

możesz, ale słowa te odbite od mojego uporu próżne się toczą po ziemi. A! dosyć tego już, dosyć, niech się spełni przeznaczenie.

Jeszcze raz na wyjeździe przyszedł ów poseł z dosyć smutną twarzą, ale już ani nagłąc, ani namawiając. Cosel zdziwiona była jego powrotem.

— Żal mi pani — rzekł — tak serdecznie mi żal pani; nie mogę przewidzieć, jaki los ją spotka; lecz...

— Wiem, że zawsze być musi smutnym dla mnie — odezwała się Cosel — ale to bynajmniej mojego postanowienia nie zmienia. Królewskiej ręki przyrzeczenia danego mi nie zwrócę. Wolno mu było dać to uroczyste poręczenie lub nie, lecz je cofnąć, królowi? słowo? dane kobiecie! oszukać ją! Ja tego nawet przypuścić nie mogę. Nie, taki Flemming lub podły Löwendhal może bez wiedzy króla chcieć je wyzyskać, aby mu je rzucić pod nogi i kazać sobie zapłacić za nie; król tego żądać ode mnie nie może. To nie jego wola.

Odwróciła się i wyszła. Tegoż dnia van Tinen odjechał.

Dziwne uczucie wiozł z sobą: pierwszy raz wysłany spełniał swój obowiązek z zimną krwią i obojętnością dyplomaty, powoli stałość tej kobiety, męstwo, wytrwanie, charakter jej, robiły na nim wrażenie coraz większe, tak, że zachwiał się, zawstydził roli, którą grał; litość, wstyd ogarnęły go: czuł się upokorzonym.

Wracał, gniewając się więcej na tych, co go posłali, niż na tę nieszczęśliwą, co go odprawiła z takim niezachwianem męstwem w obronie honoru.

Przybywszy do Drezna, van Tinen miał czas spocząć; dwór cały gotował się znowu na wielką uroczy-

stość, która się miała nazajutrz odbyć w Moritzburgu. Nie wezwano go więc, aby się stawiał, bo wszyscy czem innem byli zajęci, a on sam wcale się z raportem z podróży nie śpieszył. Rad był, że w ten sposób przedłuży przynajmniej niepewność co do losu Cosel, który przewidywał gorszym jeszcze, niż był obecny.

Moritzburg właśnie od niedawna, wśród lasów opodal otaczających Drezno, na wspaniałym stawie wzniesiony był dla spoczynku po łowach. Prześlicznie wśród głuchych ostępów i gęstych ścian starodrzewu wydawał się ten zameczek ze swemi wieżyczkami. Całe ówczesne towarzystwo, przy królu bawiące, zaproszone było na tę gospodę narodów czterech części świata. Mnóstwo cudzoziemców, a z dawnych króla przyjaciółek księżna Teschen, hrabina Königsmark, obok Denhoffowej i Pocijowej, seraj cały.

Placem zabawy był rodzaj wału usypanego umyślnie nad wielkim stawem, na którym wzniesiono na prędce sale i gabinety połączone z sobą galeryami i całe strojne w gałęzie i wieńce zielone. Wśród stawu miały się odbywać wyścigi wodne, regaty na gondolach sprowadzonych z Wenecyi i czółnach holenderskich, dokoła zaś napędzony zwierz dostarczał dla myśliwców zabawy, bo go ścigano, pędzono, szczuto i strzelano aż na stawie.

Tyle się osób zebrało na tę uroczystość, że wszystkie pokoje zamku, zabudowania, namioty rozbite nad stawem, dwa rzędy baraków wystawionych na prędce, nie starczyły na pomieszczenie i powozy służyć musiały za gospody na nocleg, a inni spali pod gołym niebem wśród drzew... i nazajutrz rano, że nie każdy się kładł bardzo trzeźwym,

peruk, szpad i trzewików, po lesie i krzakach szukać musiano.

Van Tinen wmieszał się w tłum, błędził od budy do budy; jakoś ta cała zabawa i wesołość dziką mu się wydała. Król, który tu sam gospodarzył, niezwykle nością widoku zadowolony był i wesoły. Nigdy dla dymisyonowanych swych amatorów nie był bardziej uprzejmym i czułym. Denhoffowa płonęła z zazdrości, gdy mówił z księżną Teschen, Königsmark pogardliwym okiem rzuciła na Denhoffową, gdy król jej czynił honory jarmarku.

August cały był zajęty swem dziełem, iluminacją, wspaniałością fety, którą wydał, i nie spoczął, aż gdy skończywszy po północy wykonanie programu, siadł z dobraćmi przyjaciółmi do puharów i toastów.

Tu językom puszczo wódze, a Flemming, Vitzthum, Friesen mogli mówić dowoli, nawet o tych paniach, dla których August przed chwilą okazywał największe uwielbienie.

Przebrano wszystkie intryki dworskie i skandaliczne historyjki, o których król lepiej wiedział od innych.

Löwendhal siedział także w końcu stołu.

— Zdaje mi się, że tego gładsza van Tinena dziś tu widział — rzekł król z przekąsem.

— Wrócił z Halli — odparł marszałek kwaśno, spoglądając na króla, który wstał i poszedł z nim w pustą klatkę sali.

— Van Tinen był wysłany do Cosel? cóż przywiózł?

— Co zwykle od niej wszyscy — zamruczał Löwen-

dhal — nikomu jej nie żal tyle co mnie, lecz z uporem tym niema ratunku.

— Trzeba było w zamian za to pismo ofiarować jej swobodę i coby chciała!

— Powiada, że go za nic nie sprzeda.

August się zmarszczył.

— Przecież raz skończyć to potrzeba — dodał Löwendhal.

— Tak, jutro list wystosować do króla jegomości pruskiego, prosząc o wydanie hrabiny — dokończył król — co dalej ma się zrobić, zobaczymy.

— A tymczasowo dokąd się jej Najjaśniejszy Pan udać każe?

— Niech ją zawiozą na zamek Nossen... namyśli się tam może. Nie mogę ścierpieć tej zuchwale wypowiedzianej mi wojny. Dosyć już tego. Głowę mi nią obija, Denhoffowa: wiecznie o tem słyszę. Dać mi z tem pokój raz przecie!

Te słowa królewskie, wyrzeczone w zniecierpliwieniu i pod wrażeniem rozkołysanej zabawami wyobraźni, podchwyczone i nazajutrz zaraz były wypotrzebowane. Przypomnił je Flemming Augustowi.

W liście do króla pruskiego, żądając wydania hrabiny, położono za powód nietylko jej śmiałość przeciw Augustowi mowy, ale oskarżenie o spisek na jego życie.

Odgróźki publiczne mogły to poniekąd usprawiedliwić.

List wyprawiono przez kuryera do Berlina.

Król Fryderyk ani chwili się nie wahał; przywołano z jego rozkazu porucznika Ducharmoi z pułku księcia Anhalt-Dessau.

— Udasz się waćpan do Halli — odezwał się król do niego — znajdziesz tam hrabinę Cosel. Weźmiesz ją pod straż, na swą odpowiedzialność i odprowadzisz do granicy saskiej... tam oddasz ją w ręce oficera, który waćpana pokwituje.

Ducharmoi, młody człowiek, ale nawykły do karności wojskowej, choć mu ta rola wydała się nader przykrą, natychmiast udał się do Halli. Stanawszy tu bardzo rano, przez uczucie delikatności nie śpieszył tak bardzo z pochwyceniem pani Cosel. Przeszedł się parę razy pod jej oknami dla upewnienia, że mu nie uszła; zobaczył ją i tem się uczuł skłonniejszym do postępowania z jak największą delikatnością. Około południa wszedł do domu, który Cosel zajmowała, i kazał się jej oznajmić.

Jakkolwiek hrabina przygotowana była do takiego końca, widok wojskowego okrył twarz jej bladocią. Ducharmoi, skłoniwszy się, oświadczył, że ma rozkaz króla towarzyszenia jej do granicy, gdzie zostanie oddana władzom saskim.

Jak piorunem rażona stała hrabina przez chwilę.

— Co za niesprawiedliwość! co za barbarzyństwo! — zawołała i strumień łez puścił się jej z oczu.

Od tej chwili nie wyrzekła już ani słowa.

Kazano zaprzęgać powozy, zniesiono rzeczy; Ducharmoi podał jej rękę: zeszła machinalnie, posłusznie, nie patrząc na nic i na nikogo, rzuciła się w głąb powozu. Ruszyły konie, oddział jazdy pruskiej towarzyszył z porucznikiem na czele. Przez cały czas podróży do samej granicy nie dała znaku życia. Powóz się wreszcie zatrzymał; hrabina drgnęła: przez okna jego zobaczyła znane sobie mundury saskie i oddział, któremu wydana

być miała. W tej chwili przywołała do siebie pana Ducharmoi, który się zbliżył do karety.

Gorączkowo zaczęła szukać po kieszeniach i dobywać, co miała kosztowniejszego przy sobie. Znalazła złote pudełeczko i piękny kameryzowany zegarek: oboje podała oficerowi.

— Weź to na pamiątkę ode mnie.

Ducharmoi się wzdragał.

— Proszę pana, błagam, weź — podała — niech to się nie stanie lupem tych obrzydłych Sasów.

Wypróżniała woreczek z pieniędzmi, przeznaczając je dla pruskich żołnierzy. Potem znowu rzuciła się w głąb powozu, zapuściła firanki i nie spytała nawet, ani dokąd ją wieźć, ani co z nią uczynić miano.

IV.

Z dawnej służby, która ją otaczała, nie pozostawiono przy hrabinie nikogo: kobiety obce, twarze nieznane ją otaczały. Obejście się wprowadzie było dosyć łagodne i pierwsze życia potrzeby zaspokojone; lecz od chwili, gdy ją w ręce saskich żołnierzy oddano, niewola stała się widoczną... czuć ją było na każdym kroku. Noc tylko przebyła hrabina Cosel w Lipsku.

Rano urzędnik w peruce, przy szpadce, milczący wykonawcą z wysoka płynących rozkazów, wszedł do pokoju, w którym noc we łzach i miotaniu się bezsilnem spędziła. Niósł z sobą rozkaz na piśmie od króla zabrania i przejrzenia wszystkiego, co hrabina miała z sobą.

Spojrzała nań okiem pogardliwym, nie chcąc się z nim wdawać w rozmowę. Zabrano i opieczetowano szkatułki, papiery, kosztowności, przerzucono kufry, przebrano suknie, szukając tego, czego znaleźć nikt nie mógł. Upokarzające to przetrząsanie trwało godzin kilka, ocalało od niego ledwie to, co hrabina miała przy sobie i na sobie.

Gdy urzędnik miał już odchodzić, cisnęła mu jeszcze garść pieniędzy i kilka pierścieni w oczy Cosel, i tak milcząca, jak była w czasie ohydneho zaboru tego, co się zwało jej własnością, odwróciła się wzgardliwie.

Któż potrafi odmalować stan duszy kobiety dumnej, namiętnej, czującej się niewinną, a prześladowanej z zimnem i obrachowaniem okrucieństwem? Na przemian łzy i gniewy, to omdlenie i do szału podobne obłąkanie, śmiech dziki, obudzały nawet w sługach politowanie nad nieszczęśliwą...

Zaledwie dawszy jej spocząć chwilę, kazano znów siadać do powozu... dokąd? nie mówił nikt.

Oddział żołnierzy na koniach otaczał karete. Jechali do wieczora, pędząc szybko. Na niebie rozognionem po słońca zachodzie pokazały się mury zamku, wieże i powóz przez ciemną bramę wjechał w podwórze.

Cosel podniosła oczy. Miejsce jej zupełnie było nieznane. Zamek zdawał się pusty i dawno niezamieszkały. Kilku ludzi oczekiwało u drzwi do niego wiodących. Shugi musiały prowadzić osłabłą po schodach wązkich, które wiodły na pierwsze piętro. W kilku sklepionych izbach znać było pewne przygotowanie dla jej przyjęcia. Były to stare mieszkania z oknami wązkimi, z ogromnymi kominy, z grubymi mury, odarte, bez ozdób żadnych, ledwie w sprzęt opatrzone a więzienny mające pozór.

Cosel rzuciła się na łóżko znękaną.

Noc przeszła bez snu, w strasznych marzeniach, które rodzi niewola. Miało się na brzask i niebo pochmurne rumieniło się na wschodzie, sługi spały jeszcze... w korytarzu słychać było chodzącą straż tylko, gdy Cosel wstała i pobieгла do okna, które, głęboko w framudze

osadzone, dzienny blask przez szyby w ołów oprawne przepuszczało.

Widok z tego okna nie mógł jej nic w życiu widzanego przypomnieć. Przed jej oczyma rozciągała się równina, daleko lecąca ku sinym lasom na widnokręgu. Wśród niej gdzieś sterczała kupka drzew, widać było dachy i z za zieleni słupem wspinał się dym ludzkich ognisk ku niebu. Pusto i cicho było dokoła.

Zamek stał na górze, która urwisto spuszczała się ku malej osadzie. Dołem szedł gościniec, sadzony karłowatymi wierzbami. Na gościńcu nikogo... tylko z głowy spuszczonej, porykując, szło stado krów ku pastwiskom i pastuszek odarty je poganiał.

Okolica była nieznana.

Z sypialni, w której noc spędziła, cichymi krokami wyszła Cosel do drugiej obszerniejszej komnaty.

W środku jej stał stół dębowy, przy ścianach dwie ławy i kilka stołków, na murze dwa stare, zapylone, dzioko patrzące wizerunki.

Nad kominem obity, starty, widny był herb jakiś w kamieniu kuty, z którego tylko została tarcza i hełmy. Za tą komnatą sklepioną, jak pierwszą, była jeszcze krągła izdebka w wieżycy z oknem na drugą zamku stronę. Tędy widać było lasy i wzgórza i osady, i znowu inny kraj nieznany, wśród którego na górach jeszcze parę gniazd rycerskich sterczało.

W krągłej baszcie było nieco sprzętu... pusta szafa w murze, a na jednej jej półce, rzucona niegdyś, niepodjęta przez nikogo, wałala się stara biblia poszarpana, rozsypana, pogryziona przez myszy i warstwą pyłu okryta.

Cosel schwyciła ją chciwie, ale księga z rąk jej się wysliznęła i kartami luźnymi rozproszyła po podłodze.

Z izby drugie drzwiczki żelazne, zaryglowane starannie, wiodły już gdzieś w tajemnicze ciche mury zamczyska, w którym głosu życia ludzkiego słyszeć nie było.

Dzień się robił. Jaskółki latały koło okien, zwijając się u gniazd swoich. Cosel wróciła do sypialni. Kobiety już się były pobudziły, ofiarując swe usługi. Ona ich nie potrzebowała. Głód zaspokoivszy trochę ciepłego napoju, który połknęła, sama nie wiedząc co bierze, poszła do okna. We framudze kamienna ława pozwalała usiąść i patrzeć w świat, choć na tym świecie nie było nic, tylko szerokie pole puste i trochę zieleni.

Cosel zwróciła oczy na drogę.

Drogą sunęły się w pole wozy i szli ludzie, pędzono stadą; potem tuman kurzu leciał po niej wirując i osiadał gdzieś daleko zmęczony.

Godziny szły niepoliczone. W południe zastawiono jadło. Jedna z kobiet namawiała do stołu. Cosel poszła i, patrząc na swój obiad więzienny, rozplakała się.

Inne były owe biesiady, gdy przyjmowała królów u siebie, klękających przed jej czarnymi oczyma. Oczy te nie zgasły, ale szczęście jak mara szyderska pierzchnęło. I znowu Cosel szła do okna i znowu patrzyła na drogę, nie przyznawała się sama przed sobą do tej nadziei, że na gościńcu kogoś zobaczyć miała. Wierzyła, że Zaklika szukać jej będzie.

Ale tego dnia i następnego na gościńcu nie zobaczyła nikogo oprócz trzód, pastuszków i wozów. Nikt ku

zamkowi nie podniósł oczu. Od okna chodziła do okna: dokoła dziko było i pusto. Wieczorem odarty dzieciak zbierał ziele pod murem. Hrabina rzuciła mu ocalony jakiś pieniądz i, wychyliwszy się, zapytała cichym głosem, jak się zamek nazywa? Dzieciak nie zrozumiał, nie-rychło się zebrał na odpowiedź; nieśmiało przebaknął: „Nossen!...” i umknął przerażony.

Imię nawet niedobrze było jej znane. Parę razy przypadkiem niegdyś obilo się o jej uszy. Wiedziała teraz, że była w okolicy Drezna i Meissen. Ona, co uwolniła Beichlinga, jego braci i współwinnych, co osładzała los Böttigera, teraz sama przyszła do gorszej niż oni niewoli.

A z niewoli tej nie było w świecie człowieka, coby ją chciał lub mógł uwolnić. Przeszedł jej znowu przez myśl Zaklika, ale cóż on mógł jeden przeciw murom, strażom i królowi?

Tak trzeciego popołudnia zadumana spoglądała w dziedzińce, gdy na drodze spostrzegła jeźdźca.

Jechał zwolna od strony Drezna.

Koniowi cugle puścił, rozglądał się ciekawie po okolicy; podniósł głowę ku zamkowi: zdawało się, że jeszcze umyślnie zwolnił kroku, czegoś tu szukał oczyma. Opończę miał na sobie szarą; twarz żółta, wychudła przypominała wiernego sługę: zadrżała i poczęła białą dawać znaki chustką.

Jeździec dobył podobnej i, ocierając nią niby opylone czoło, dał też znak, iż spostrzegł ją. Był to w istocie Zaklika. Z postawy, ruchu, choć w dali, poznać go mogła. Serce jej silniej uderzyło. Ten przynajmniej człowiek jeden o niej pamiętał. Ten jeszcze mógł ją ocalić.

Jadący drogą powoli się tak przesunął, oglądając na zamczysko, i znikł za obrywem góry.

Zaklika siedział zrazu kilka dni w Halli i czatował. Nie ruszał się stąd, ażeby mógł w ślad puścić się za hrabiną, wreszcie mu Prusacy precz jechać kazali. Namysłiwszy się więc, przebrawszy, ruszył do Drezna. Tu udał się wprost do Lehmannna.

Bankier przyjął go widocznie przestraszony, blady; drzwi pozamykał i najprzód pytać zaczął, czy go kto nie widział. Upewniony, iż z nikim w Dreźnie ani się spotkał, ani mówił, że wrzekomo służbę porzucił, Lehmann dopiero odetchnął. Długo jednak nie przyszedł do słowa, a gdy mówić zaczął, zdawało się, iż szmeru własnej mowy się lęka.

— Wy nie nie wiecie — rzekł — kto to uczynił, trudno zgadnąć; powoli do tego przyjść musiało zapewne, ale dziś już miary jej nieszczęściu nie będzie. Król w gniewie, a królewski gniew zimny, lodowaty, straszny. Gdy król zły jest tylko, przechodzi mu to prędko; gdy obrażony zawezmie się, nieublaganym jest. Cosel zgubiona!

Zaklika słuchał tylko.

— Tak, Cosel jest zgubiona — mówił Lehmann — gdy król komu złe wyrządzi raz, już go ścigać będzie i nie dopuści do oczu swoich. Cosel mu odmówiła odania przyrzeczenia, jakie jej dał. Ona go nie zwróci, on jej nie przebaczy. Rozkazano zabrać jej wszystko. Löwendhalowi poruczono szukać wszelkiego jej mienia, pieniądze, klejnotów, sum. Pillnitz zabrano na skarb, inne dobra także. Król sam polecił szukać i spisać co

było, aby, jak mówi, ocalić to dla jej dzieci i wyrwać jej z rąk środki pomsty i ucieczki.

Lehmann się zbliżył do Zakliki.

— Ode mnie też odebrano wszystko. Król przysłał, sprzeciwić się niepodobna: książki świadczyły.

— Jakto? wszystko! juścić nie tę zatajoną sumę, którą mi hrabina u was odebrać poleciła?

To mówiąc, dobył zaszytą w rękawie kartkę; bankier wziął ją rękoma drżącemi.

— A wiesz ty — spytał — co by było nam dwom, gdyby tę kartkę i tę sumę odkryto? Poszedłbym do Königsteinu, a moje dzieci z torbami, Flemming, Löwendhal i inni chwyciliby radzi sposobność zajrzenia do mojej skrzyni żelaznej.

I ręce mu drżały.

— Więc i tę sumę im wydałeś? — zapytał zrozpaczony Zaklika, łamiąc ręce.

Lehmann patrzył nań długo, zdawał się walczyć z sobą.

— Słuchaj — rzekł — przysiąż mi najprzód na to, co masz najświętszego, że mnie, choćby ci życie wydrzeć chciano, nie zdradzisz.

Z szuflady biurka Lehmann wydobył zastawiony u niego przez księżnę Teschen krzyż brylantowy.

— Przysiąż mi na to — zawołał.

Zaklika ujął w ręce krzyż, podniósł palce do góry i zimno rzekł:

— Przysięgam. — Złożył potem krzyż do szuflady i dodał: — Ode mnie ci nie trzeba było przysięgi, dość szlacheckiego słowa. Nie zdradził Zaklika nikogo i nie zdradzi.

Chmurno nawisła mu brew.

Lehmann patrzył nań a biały był aż do warg, które mu zastygły ze strachu.

— A jeśli u ciebie znajdą pieniądze, gdy cię złapią?

— Najprzód, pieniądze własne mieć mogę, choćby i od tych znaczniejsze; potem i hrabina mi je też dać mogła.

— Ale cokolwiek ona miała, to dziś fiscus zabiera; nawet podarki od niej, nawet powierzone klejnoty, cokolwiek należało do niej kiedy.

— Ja m nigdy nic nie miał i u mnie nic szukać nie mogą. Dasz mi te pieniądze?

Lehmann zawahał się jeszcze.

— Mogę być nieszczęśliwym przez ciebie, ja i dzieci moje; ale niech nie mam na sumieniu, żem nie ratował w nieszczęściu. Bóg jest jeden i nieszczęśliwi u Niego wszyscy równi.

Otworzył kufer żelazny, dobył worek i zaczął liczyć na stole pieniądze. Odetchnął Zaklika i otarł pot z czoła. Spalone wargi szukały napoju: znalazł wodę i wypił całą karafkę; potem siadł zadumany w końcu stołu, oparł się na łokciu i ze zmęczenia usnął.

Gdy Lehmann, zajęty liczeniem, zwrócił się ku niemu i zobaczył go uśpionym, zrozumiał dopiero, co ten człowiek milczący przecierpieć musiał, gdy w tej chwili pierwszej uspokojenia zdjąć go mógł taki sen nagły mimo woli i wiedzy.

Na palcach przeszedł do drugiego krzesła Izraelita i usiadł, czekając niecierpliwie, aż się obudzi. Pragnął on bardzo, aby to jak najprędzej nastąpiło, gdyż mimo

litości nad człowiekiem lękał się go dłużej mieć w swoim domu.

Zaklika, który padł ze znużenia, ale w którym dusza czuwała niespokojna, rozbudził się prędko i prawie przestraszony porwał się z siedzenia. Przetarł oczy: wstyd mu było, że się tak słabym okazał.

Rzucił okiem na pieniądze, po cichu zgarnął je do trzosa, w którym miał trochę swojego grosza, i w milczeniu opasał się nim pod suknią.

Lehmann czekał, nic nie mówiąc. Gdy wziął za czapkę Zaklika, bankier się zbliżył do niego i rękę mu położył na ramieniu.

— Bogu tylko jednemu wiadomo, czy się kiedy jeszcze zobaczymy — rzekł — żał mi was szczerze, ale jak od pocziwego czynu hamować? Widziałeś, żem się lękał, nie miej mnie za złego człowieka: mam dzieci, a dla nich żyję. Teraz przy rozstaniu nie odmów mi jednej rzeczy, ale posłuchaj wprzód. Miałem hrabiny sumy znaczne i długo, w naszych rękach pieniądz się mnoży. Rachunki nasze skończone, popłaciłem wszystko, przecież w takim nieszczęściu człowiek rachować powinien inaczej: weź jeszcze to dla siebie czy dla niej i z Bogiem idź!

Wyciągnął woreczek, który trzymał ukryty pod suknią, milcząc, prawie gwałtem mu go wcisnął do ręki i dodał:

— Nie byłeś u mnie, nie znasz mnie. Ja ciebie nie znam.

— To dla niej — rzekł Zaklika, ściskając go za rękę.

— Wyjdź ogrodem, a prędzej — dodał Izraelita.

Bał się, nadto będąc znajomym, pokazać w mieście

Rajmund, aźby nie obmyślił, co miał czynić. Na przedmieściu nad Elbą zostawił był konia. Stał tam jeszcze wówczas niejeden domek Wendów, którzy dawniej po całym byli Dreźnie rozsiani, choć z nich dziś nie zostało nic. Za owych czasów, gdy przy dworze wisiał, jak mówił, Zaklika, nie mając co robić, włóczył się często po przedmieściach. Tu go uderzyła mowa do jego własnej podobna. Słuchał długo rozmawiających z sobą Serbów tutejszych i językiem swym zabrał z nimi znajomość. Rybak, z którym się najpierwej poznał, zwał się Hawlik, zaprowadził go do swojego ubogiego domu i tak zawiązał się między nimi druzba, która w trwałą przeszła przyjaźń.

Hawlik był katolikiem, Zaklika mu dziecko trzymał do chrztu i, pokumawszy się z nim, polubił prostych ludzi. Rodzina była dosyć biedna. Niegdyś mieli tu oni spory pas ziemi, ale im się nie wiodło; z każdego ich nieszczęścia jakiś Niemiec skorzystał: sprzedawali tak kawałami ojcowiznę, aż mało co jej zostało.

Grunt Hawlika przypierał do brzegu rzeki, a ciągnął się ogrodem aż na wyniosły jej brzeg, ale mało z tej piaszczystej ziemi było pożytku. Hawlik też rolnikiem nie był, wołał stawiać wężerze, iść z niewodem lub z wędką. Czasem się też poszczęściło na ryby. Życie było ubogie, smutne; lecz się wlokło jakoś z końca w koniec roku.

Zaklika przychodził dawniej do nich często, siadał pod chatą z nimi wieczorami i tak rozmawiali długo o swej biedzie. Wend lepsze czasy pamiętał.

— Wszystko to wokół było nasze — mówił — ale różnymi sposobami wyzegli nas z ojcowizny; teraz się

swoim językiem odezwać straszno, a wkrótce nas nie będzie, chyba na cmentarzu szukać; albo trzeba zostać, czem nas Bóg nie stworzył, lub wymierać. Po miastach nas nie dopuszczają do niczego; dość, by kto Wendem był, aby go popchnięto. Maleje liczba nasza, widzimy, jak ginimy, a niema na to ratunku. Snadź Bóg skazał na bezpotomny zgon.

A gdy się im z serca wyrwała ich stara pieśń serbska, nie wazyli się jej nucić, chyba po nocy i po cichu i dzieci się jej uczyły ukradkiem.

U Hawlików stawał Zaklika, ilekroć mu trzeba było niewidzialnemu być w mieście, dla konia był chlew, choć niepokazny, dla niego posłanie na górze, i misa kaszy na wieczrę i szklanka piwa, ale serca pocztwe i dłonie serdeczne.

I teraz u nich gościł, radzi mu byli. Nigdy też o nie nie pytali, ani co robił, ani po co przybył; tylko, czy mu się na świecie wiodło, choć z twarzy widzieli, że nie bardzo.

Poszedł do nich nocować Zaklika i z myślami się biedzić. Nie wiedział, czy mu bezpiecznie się tu pokazać, aby języka dostać, i czy go albo nie uwiężą, lub nie zatrzymają. Rankiem nazajutrz, ostrożnie się zakapturzywszy, poszedł mostem naprzeciw Narrenhausu. Tak mu się zdało, iż Fröhlicha spotkawszy, najbezpieczniej się od niego coś dowiedzieć potrafi. Stary Fröhlich o swej godzinie szedł lub jechał zawsze na zamku pełnić służbę, która się zaczynała od śniadania. Można było być pewnym, że się go u mostu o dziewiątej spotka. Dla większego bezpieczeństwa Zaklika usiadł na schodkach domu Fröhlicha, aby go minąć nie mógł. Jakoż o godzinie

naznaczonej stary trefniś ze swym śpiczastym kapeluszem i srebrnym kluczem był u drzwi. Zobaczywszy siedzącego, począł go nogą trącać, nie poznając.

— Hej, mości panie! jakże mam nazywać? czy mój dom bierzecie za gospodę?

Zaklika się odwrócił, trefniś go poznał.

— Co się to z was zrobiło, mości Unglücku? — zawołał — wyglądasz, jakbyś się ożenił! He?

— Powracam z podróży.

— Katolik! prawda? to chyba z czyśca?

— Wlóczyłem się po świecie — odparł Zaklika — cóż się tu u was dzieje?

— Co? chcesz, żebym ja ci historyografem był tego, co na wołowej skórze nie spisać? — rozśmiał się Fröhlich. — Co się u nas dzieje? dobryś! Spytaj, co się u nas nie dzieje?

Chwycił się za głowę.

— Nie wiecie, co się z moją dawną panią stało?... — zapytał Zaklika.

— Ani nawet kto była twoja dawna pani.

— Hrabina Cosel.

Fröhlich obejrzał się i palec położył na ustach.

— Cyt! na Boga! któż to imię wspomina? przy królu tego imienia wymówić nie można. Śmiać się nie ma z czego, a ty wiesz, że ja śmiechem żyję i pewnie umrę ze śmiechu*).

— Ale powiedź mi choć, co się z nią stało?

— Jakto? ty nic nie wiesz? gdzieś był?

*) Fröhlich istotnie ze śmiechu umarł w Warszawie, zob. *Dr. Vehse*.

— Daleko...

— Myślę, że i daleko o tem mówić muszą. Ta, w której niewoli był pan nasz lat ośm, jest pono w niewoli u niego... i potrwa dłużej jej niewola, niż panowanie trwało.

— A gdzież jest? — zapytał Zaklika.

— Mówią, że siedzi gdzieś na zamku w Nossen, ale dla niej pewnie co paradniejszego zbudują — rozśmiał się Fröhlich z nałogu a smutnie. — Nie! nie! nie chciałbym być kobietą. Prawdę rzekłszy, i mężczyzną być nie dobrze... a ci śpiewacy włoscy, co są nijakiego rodzaju, mówią, że im też na świecie niekoniecznie wyśmienie — paplał Fröhlich — gdybym miał do wyboru, chciałbym być... osłem. Mięsa osłego nie jedzą, skóra gruba od kija i broni, a gdy długouchy arzę śpiewa, wszyscy uciekają i spokojny: dodaj, że apetyt niewymyślny i starą miotłą żywić się umie. Możeż być szczęśliwsza istota?

— Nossen! Nossen! — powtarzał zamyślony Zaklika, zapomniawszy o trefnisiu.

— Ja o osła, a ty o Nossen! co ci po tem Nossen! nie gadajmy o smutnych rzeczach. Bądź zdrow!

Fröhlich, włożywszy urzędowy swój uśmiech na usta, poszedł. Zaklika został.

Łatwo mu było od Hawlików dowiedzieć się o zamku i drodze do niego i tegoż dnia, nie pokazując się nikomu, ruszył ponad Elbą wskazanym mu gościńcem.

Uradowało go to, że właśnie przybywającego zobaczyła zaraz Cosel; domyślił się jej po białej chustce, a czuł, że jej z sobą pociechę przyniesie.

W gospodzie konia postawiwszy, że tu już sami sie-

dzieli Niemcy, Zaklika handlarza grał rolę i skór pytał. Tak się rozgościł pod „Złotą podkową“, a niby za towarem chodząc, miał czas powoli zamek oglądać.

Były to opuszczone mury, straż przy Cosel z kilku ledwie składała się ludzi. Nie wpuszczano tam nikogo, ale pilności zbyt nie było. Okna od mieszkania wysoko stały w murach, nikomu na myśl nie przyszło, aby niemi uciekać można; to też i straży żadnej u okien nie spostrzegł Zaklika. Żołnierze fajki palili w podwórzu i na korytarzach u drzwi hrabiny.

Od tyłów zamku podejść nawet pod okna było łatwo, ale że góra była łysa, zewsząd widna, z gościńca mogli ludzie dopatrzeć i wydać.

Ażby mieć pozór do dłuższego pobytu, drugiej nocy stękać zaczął Zaklika, że zachorzał i po kościach mu łamało, że pilno mu było w dalszą drogę, a tu może spoczywać przyjdzie, póki się nie wyliże.

Gospodarz z pod „Złotej podkowy“ wcale się nie gniewał za to, mając do żywienia konia i człowieka; owszem, znajdował, iż ostrożność radziła dobrze się wyłożyć i wypocząć, ażby łamanie i darcie odeszło, ku czemu sadło niedźwiedzie w pomoc ofiarował.

Przy wieczerzy już się też rozgadać było można z panem Wuischem, który trzymał gospodę. Zaklika tak się był po sasku wyuczył, że go po wymowie ani było poznać. Szepnął mu zaraz gospodarz, iż na zamek tę panią przywieźli, która na życie króla godziła. Od niego dowiedział się też Rajmund, ilu stało żołnierzy na warcie w zamku i jakie przedsiębrano ostrożności. Dwie kobiety, starsza ochmistrzyni i garderobiana, a oprócz tego

kucharz i chłopiec składali teraz cały dwór tej pani, której wprzódby złocista ciżba skinienia patrzała.

Prawiono dziwy o uwięzionej.

Zaklika został nie podejrzewany na drugi dzień, a że dał parę talarów gospodarzowi na zatargowane skóry, bezpieczniejszy już, poszedł z południa niby zamek oglądać i okolice.

Od jednej strony, kędy były lasy i pusty gościniec, prawie niepostrzeżonemu przez zarośla i krzaki podkraść się było można pod mury. Z tej jednak strony czy wychodziło jakie okno mieszkania Cosel, nie wiedział i musiał to do dalszego zostawić badania.

Wieczorem wziął drugą porcję niedźwiedziego sadła u gospodarza i położył się, myśląc, jakby mu zamydlić oczy, a pobyt w gospodzie przeciągnąć.

V.

Rano, gdy przy piwie grzanem siedział w izbie Zaklika, weszło trzech żołnierzy ze straży zamkowej na piwo też, z wielkim hałasem, bo dawniej żołnierstwo nie chodziło inaczej.

Zaklika w nich poznał zaraz dawniej widywanych na strażach u dworu, i jeden też z nich pilno przypatrywać mu się zaczął.

— Hej! hej! — rzekł, spartszy się oburącz na stole — my bo gdzieś się znamy?

— Pewnie — odparł Zaklika — bom ci to ja dworsko służył długo, pókim się do handlu nie rzucił, gdy mi ten chleb zbrzydł. Nierazem ja was też na straży u króla pana miłościwego widział.

— A! toś ten, co łamiesz podkowy! — zawołał żołnierz.

— Bywało to, bywało, żem i wołu za róg wzięwszy w miejscu osadził, ale teraz już i z baranem nie wiem czybym tej sztuki dokazał.

Żołnierz mu się skłonił, uśmiechając, i podparł na

stole. Zaklika o piwo dla niego zawołał: przyjaźń się zawiązała dobra.

— No' dostało się nam za pokutę — odezwał się żołnierz — na wartę do Nossen! koło kogo? spódnicy pilnować! Nudno, choć się powiesić! Żeby choć byli dodali hrabinie z parę ładnych dziewcząt, ale ochmistrzy ni pięćdziesiąt lat, garderobiana ze czterdzieści. Nawet na tej pustyni niema ochoty z niemi pobaraszkować.

— A długoż będziecie tu siedzieć?

— Któż to może wiedzieć? Już ze snu człowiek puchnie, bo niema co robić, tylko o mur plecami i chrap...

— W kartyby można grać — rzekł Zaklika.

— Z kim, o co? mało co przy nas grosza i ochota odpadła.

Ziewnął, pijąc piwo. Znajomość pożyteczna została zrobiona. Gdy żołnierze po piwie szli do zamku, Zaklika, zagadawszy się, niby odprowadzać ich zaczął, coraz dalej, coraz dalej, aż do bramy, aż w dziedziniec i tak, nie postrzegłszy się, aż na korytarze się wsunął.

Reszta żołnierzy, biwakująca na słomie, nie zdziwiła się przybyszowi; owszem, radzi mu byli: siadł z nimi do gawędy i rozruszał znudzonych. Znalazły się karty, przegrał im parę talarów. Dopieroż byli radzi. Gdy odchodził, ciekawość go niby wzięła zamek zobaczyć i tak jawnie się poszedł przejść pod mury, ani mu kto słowo rzekł. Oficer był w miasteczku i grał na gitarze córce rzeźnika.

Jednakże tego dnia więcej nad to dokazać mu się nie udało.

Zaklika, chorując ciągle, targując skóry, marudząc,

starał się wkraść do zamku: nie posądzano go wcale, jednakże trudności były wielkie, z samego położenia wynikające. Część zamku, w której osadzono hrabinę, przytykała do drugiej prawie pustej; mieścił się w niej oficer i stary murgrabia z rodziną, który zawiadywał ruiną. Przez żołnierzy potrafił z nim zawiązać znajomość Rajmund i starał się go poznać bliżej. Człek był obarczony rodziną, chciwy i skapy. Częstując go za swój grosz, wywiedział się powoli, w którą stronę okna mieszkania hrabiny wychodziły i że drzwi żelazne od baszty, od których miał klucze murgrabia, otwierały się na wielką salę, w której z dawna niepotrzebne urzędowe papiery składano, mając kiedyś do zamku sądy i urzędy powiatowe przeprowadzić. Zaklika wielką okazywał ciekawość ku starym gmachom, radby był zamek oglądać, ale na to stary dozorca zmilczał. Innego dnia rozgadali się o hrabinie, a Polak usiłował ku niej zajęcie i litość obudzić w murgrabim. Popatrzyli na siebie.

— Hrabinie — rzekł Zaklika — pozostało wielu przyjaciół na dworze i są ludzie, co zapewniają, że kiedyś może jeszcze do władzy powrócić. Nie dziwiłbym się, panie Herzog, gdyby który się tu zjawiał i waćpanu piękny grosz ofiarował za to, żebyś tylko chwilkę rozmowy z hrabiną ułatwił.

Spojrzał na starego Herzoga, który sobie dłonią brodę gładził mrucząc.

— Cóżbyście wy poczęli w takim razie? — zapytał Zaklika.

— Byłaby to dyabelska pokusa — odparł stary — zrobiłbym jak Luter: palnąłbym dyabła w łeb kałamarzem.

Ale stary się uśmiechał.

— A gdyby wam dano trzydzieści talarów? — spytał Rajmund.

— I za talarów trzydzieści poszedłbym na szubienicę — rozśmiał się Herzog. — Wielkim panom. to się może upiec, gdy co podobnego zrobią, ale chudych pacholków wiodą na rynek i pod stryczek.

— A! nie takież to wielka winowajczyni hrabina, ani takby to wielka była wina dać jej pomówić dwa słowa z przyjacielem. Tak to się gada — dodał Zaklika — aby się gadało; a no gdyby się przyjaciel znalazł, dałby pewnie i pięćdziesiąt.

Herzog popatrzył wielkimi oczyma, usta jak do świstania ściągnął i brodę pogładził. Minę miał śmieszną, sama myśl pięćdziesięciu talarów szła mu jak napój moczny do głowy.

— Jeśli asinǳiej wiesz o takim przyjacielu hrabiny, co mógłby dać bitych, twardych talarów pięćdziesiąt, to mu ode mnie powiedz, niech przyjdzie: pogadamy.

Obejrzawszy się wkoło, Zaklika rzekł:

— Masz go przed sobą.

— Tegom się zrazu domyślał.

— Obawiać się nie macie czego, żołnierzę mnie znają i jestem z nimi dobrze. Zaprowadzicie mnie do sali w tej godzinie, gdy kobiet niema przy hrabinie, gdy ona sama; zapukamy do drzwi... rozmowa długa nie będzie.

— Gdyby nie te baby, co przy niej są — mruknął Herzog — wszystkoby było łatwem. To nieszczęście, że one się tam mieniają i jedna zawsze siedzi.

— Niech je obiedwie żona wasza zaprosi.

— A! baba o niczem wiedzieć nie powinna.

— Spodziewam się — rzekł Zaklika — ależ ona może zaprosić, nie wiedząc dlaczego... to wasza sprawa.

Narady te trwały długo. Herzog, człek już bywały, do takich robót wiele okazywał zdolności, byle grosza dostał. Zdalo mu się też, iż nieszczęśliwa kobieta nie mogła być tak ważnym więźniem stanu.

Pewnego tedy dnia, gdy hrabina przechadzała się po sypialni, usłyszała zrazu nieśmiałe, potem coraz wyraźniejsze do drzwi żelaznych w baszcie pukanie. Z bijącym sercem pobiegła do nich i ze swej strony uderzyła w nie. Natychmiast zamek się odryglował, drzwi w zawiasach uchyliły i Zaklika się w nich ukazał.

— Mam tyle tylko czasu, aby pani oznajmić, że jestem tu i będę w okolicy; będę czuwać, a co uczynić się tylko da, zrobię.

— Ulatwić ucieczkę! ucieczkę! — poczęła żywo Co-sel — umrę zaduszona tem powietrzem. Staraj się, płąć, czyni, co chcesz!

— To dotąd jest prawie niepodobnem, a przynajmniej wymaga czasu — żywo rzekł Zaklika — spuście się na mnie, iż uczynię, co tylko w mocy człowieka. Z okna, które wychodzi na tył od baszty, spuście sznurek szary; ponieważ drugi raz rozmowa może być niepodobną, szukajcie na nim kartki. Oznajmie, co zrobię.

Herzog naglił. Zaklika worek z częścią pieniędzy wsunął hrabinie i szepnął:

— Jedną sługę trzeba kupić. Stoję w gospodzie na dole „Złota podkowa“...

Drzwi się za nim zamknęły, bo kobiety mogły nadejść; ale w hrabinę duch wstąpił: skłonna do modli-

twy, podziękowała Opatrzności, składając ręce i szepcząc dziękczynne wyrazy.

Zaklika, ten sługa biedny, na którego ona z góry swojego królewskiego majestatu zaledwie spoglądać raczyła, nie zdradził jej przecie!

Herzog wziął pięćdziesiąt bitych talarów z nieukrywana radością. Łatwe ich zdobycie zlakomiło go... Powiedział sobie w duchu, że należało tę dojną krowę spożytkować i wyciągnąć z niej, co tylko się da. Nie tyle więc teraz Zaklika za nim, ile on za Zakliką gonił.

Ten już osnuwał projekt uwolnienia hrabiny, a wykonanie prawie mu się zdawało możliwem, choć wielkiego potrzebowało przygotowania.

Herzog z chęcią go nazajutrz oprowadził po zamku i pokazał mu całą dawną budowę. Była ona niegdyś obronna, a ze starych murów, podcieniów, przejść, pozostały ganki, którymi i na zamek się dostać i z zamku dobyć było można. Jedna taka wycieczka wychodziła prawie na gościniec, a choć jej dawne drzwi zawalone były gruzami, oczyścić je było łatwo.

Ale nie dosyć było z zamku wyjść; należało obmyślić środki ucieczki szybkiej do granicy i miejsce schronienia, któregooby August nie mógł dosiądz tak łatwo. Stosunki ówczesne z dworem cesarskim i pruskim nie na ich opiekę rachować nie dozwalały. Zaklika sądził, iż gdyby udało się przebyć Ślązk i dostać do Polski, tam jeszcze najbezpieczniejsze znalazłoby się schronienie. Chociaż stosunki jego z krajem oddawna były zerwane, miał znajomych, krewnych i powinowatych,

wiedział, że Sas, oprócz stronników, miał też mnogich nieprzyjaciół.

Zebrać jednak konie, ludzi i wszystko, co było potrzeba do ucieczki, wcale niełatwem się zdało w Saksonii, gdzie dwór miał szpiegów i czujne oko na wszystkich.

Zaklika przywiązał kartkę do sznura nazajutrz i oznajmił, iż idzie się starać a przygotowywać do uwolnienia hrabiny. Z Herzogiem zaś na wyjeźdźnym w cztery oczy pogadał, nie wyjaśniając mu nic, a łakomiąc obietnicą nie pięćdziesięciu już, ale choćby tysiąca, jeśliby do ważniejszej sprawy przyszło.

— Z tysiącem talarów cichusienko moglibyście wyciągnąć gdzieś nad Ren, wysławszy wprzód rodziny, i żylibyście w własnej chacie, jak u Boga za piecem.

Stary nic nie odpowiedział, głową trząśł.

Z żołnierzami na wyjeźdźnym, napiwszy się piwa i pożegnawszy ich do widzenia, pod pozorem, że tu znów za skórą przybędzie, Zaklika ruszył nazad do Drezna. Pieniądze, jakie mu Lehmann wyliczył, mogły na wszystko starczyć, lecz ucieczka musiała je wyczerpać; myślał więc, że gdyby się tylko do Polski udało dostać, tamby już innego trzeba szukać ratunku.

Cosel została po odjeździe jego z rodzajem gorączki, wyczekując nowych wieści. Codzień biegała do okna, ściągała sznurek próżny, spodziewała się jakiejś wiadomości. Nie obrachowywała trudności. Zdało jej się, że człowiek ten musi i powinien ją natychmiast uwolnić, gdy mu objawiła wolę swoją; tymczasem przedsięwzięła zyskać jedną ze służ, którą jej narzucono.

Obiedwie były chmurne i nieprzyjazne; młodsza

wszakże miała poruszenia litościwsze i łagodniejszą twarz. Z nią czasem choć kilka słów przemówić było można. Cosel nie miała zwyczaju inaczej obchodzić się nawet z osobami obcemi, tylko jak królowa do wszystkich mówiła ty i zapewniała o swej łasce. Chodziła, choć uwięziona, zawsze w tym majestacie dawnej wielkości, czując się małżonką króla.

Nieinaczej też odzywała się i do Magdaleny, młodszej sługi, z którą jednak powoli do łagodniejszego zeszyła tonu. Nie potrafiła jej jednak sobie przyswoić, aż narzekając na jej towarzyszkę i obudzając między niemi niechęć. Pieniężne podarki potajemne podziały lepiej jeszcze, ale miesiąc upłynął, nim potrafiła się o jej życzliwości dla siebie zapewnić.

Zakliki z powrotem widać nie było. Utrudniało mu w Dreźnie zachody to, iż go powszechnie znano, i że szukanie powozu a koni musiało podejrzenie obudzać. Trzeba było nadzwyczajnej przebiegłości jego, ażeby wszystko to zebrać, skupić, człowieka dostać i wcale na siebie oczu nie zwrócić. Przez Wenda swego porobił znajomości w Budyszynie i tam założył główną kwaterę.

Tym sposobem znikł z oczu dworu, a za pretekst służyło mu, iż to dla jednego z panów polskich przyproszabiał, którego rychło już z Königsteinu miano uwolnić, aby miał czem powracać do kraju.

Wiele to jednak zabrało czasu, i jesień przyszła i zima, a w tej porze ucieczka była trudniejszą, drogi gorsze, ślady do wynalezienia łatwiejsze. Zaklika dostał się do Nossen, prosząc o cierpliwość do wiosny. Herzog kazał sobie zapłacić znowu, lecz drzwi otworzył, gdy Magdalena, przypuszczona do tajemnicy, stała na straży.

Mogła się więc Cosel rozmówić dłużej i umówić dokładnie, tak, że ucieczka na pierwsze dni wiosny odłożona została. Nie było wątpliwości, iż Herzog, skuszony zapłatą, ułatwi ją.

Zima w tym roku była długą i ciężką, a tego rodzaju przedsięwzięcia, gdy się wloką i odkładają, czas do rozmyśłu i strachu zbyt ni dają pomocnikom. Herzog, nieco podpity, wybąknął coś przed żoną: resztę ona z niego dobyła. Niewiasta przemyślna znajdowała, że kto zdradza, ten już na wsze strony zdradzać i wszelką możliwą korzyść ze swej niepoczciwości ciągnąć powinien. Zdaniem jej więc było, udać zdradę, aby pieniądze dostać, a wydać Zaklikę i hrabinę, żeby miejsca i łaski nie postradać: tem lepszem się to zdawało, że w takim razie nigdzie się już wynosić nie potrzebowali.

Herzog brodę gładził, nie mówiąc: uśmiechała mu się ta trafna myśl zacnej małżonki. Czekano tylko wiosny. Cosel uspokojono nieco nadzieją swobody przy zbliżających się świętach Bożego Narodzenia; hojnym podarkiem ujęła obiedwie kobiety. Zaklika świętować miał z Serbami swoimi między Budyszynem a Dreznem.

Hrabina tak pewną była Magdaleny, iż się przed nią mimowolnie zdradzała; chciała, by jej towarzyszyła, gdyby z wiosną co się w losach jej miało odmienić. Kobiecie to wszystko wiele dało do myślenia: strach ją ogarniał. Walczyła z sobą. Pod pozorem widzenia się z rodziną, wyprosiła się na dni kilka do Drezn. Siostra jej była przy dworze Denhoffowej. Pojechała do niej. Tu naradziły się z sobą niewiasty i z narady wypadło, ażeby wszystko zanieść do pani marszałkowej Bielińskiej, a nagroda wspaniała nie minie.

Można sobie wystawić przerażenie kobiet, gdy, jak piorun, spadła na nie wiadomość, iż Cosel mogła się ratować ucieczką. Wnet zwołano Löwendhala. Pierwszym skutkiem było przyaresztowanie obu kobiet.

Tegoż samego dnia jeszcze nowy oddział żołnierzy poszedł zmienić stojący w Nossen; podwojono strażę, wzięto murgrabiego i okutego zawieziono do Drezna. W nocy, pod oknami, zaciągnęły warty. Cosel, budząc się, znalazła w przedpokoju oficera nieznanego, który wraz z urzędnikiem polecone miał przetrząśnięcie papierów, rzeczy, przeszukanie mieszkania, wypróbowanie drzwi i zamków.

Na widok tych groźnych przygotowań, gniew nią owładnął, lecz cóż mogła przeciwko sile?... Nie śmiała pytać o nic, a lękała się, żeby Zaklika nie został odkryty i uwięziony. Szczęściem, po nazwisku nikt go nie znał, miał bowiem ostrożność zwać się wcale inaczej, a z opisu twarzy trudno było go ścigać.

Kartka Zakliki, którą hrabina z pomocą sznurka ściągnęła, zręcznie przez nią została zniszczona w obecności tych, co ją odebrać chcieli. Dowodów zamierzonej ucieczki nie było żadnych, oprócz powieści służącej. Jednakże życie w Nossen od tego dnia stokroć stało się nieznośniej. Przysłano służki nowe, wylekłe i obchodzące się z hrabiną z surowością nielitościwą. Broniła ją tylko duma i milczenie.

Po wyjściu urzędnika pozostały oficer, mimo bardzo nasepionej twarzy, litościwszego serca niż inni, zbliżył się do hrabiny ze współczuciem.

— Pani hrabina nie przypomni sobie pewnie biednego chłopca, którego nieraz na straży przy królu towa-

rzyszącego w lepszych czasach najjaśniejszemu panu widziała — rzekł cicho. — Pełnię tu smutny i ciężki obowiązek, tylko dlatego się nie wymawiając od niego, abym mógł pani oszczędzić nieco boleści. A! nie pogorszaj pani położenia swego.

Cosel dumnie nań spojrzała.

— Chcesz mi dowieść współczucia — zawołała — powiedz mi, co odkryto? kto? jakim sposobem?

— Szczegółów nie wiem — odezwał się oficer — rozkazy wyszły od króla przez marszałka Löwendhala. Służbę całą zmienić kazano. Dozorca zamku wzięty na śledztwo i badanie.

— Kto więcej?

— Zdaje mi się, że oprócz służki nikt — rzekł oficer. — Będę przychodził codzień — dodał — będę nad miarę surowym przy ludziach, ale w czem potrafię, pomogę i radbyń przynieść ulgę.

Sklonił się i wyszedł.

W trwodze i niepewności upłynęło dni kilka. Zaklika, który w Dreźnie dowiedział się z odgłosu powszechnego, iż zamiar ucieczki z Nossen odkryto... przeczaił się, czekając, azali jego ścigać nie będą. Rozumiał to dobrze, iż mu się pokazać około Nossen nie można, a czuł zarazem, iż oznajmić należało hrabinie, że jest wolnym, że zatem na niego jeszcze liczyć może.

Nocami więc, przebrany za żebraka, przekradł się do zamku. We dnie z sąsiednich zarośli dopatrzył, że w oknie sznurka nie było i żołnierz pod nim przechadzał się na straży. Trudnem się stało oznajmienie o sobie hrabinie, łamał głowę napróżno, jak tego dokaże. Włócząc się mimo mrozu i śniegu po okolicy, drugiego dnia na-

potkał wózek wędrownego przekupnia, który po wsiach i miasteczkach rozwoził towary zwykle na podarki wili Bożego Narodzenia. Handel naówczas nie był tak ożywiony, jak dzisiaj, wędrowni przekupnie dostarczali ze stolicy wymyślniejszego towaru.

Zjeżdżał zwykle z wózkiem lub na plecach noszoną króbką przekupień do gospody wsi i miasteczka; schodziły się kobiety rozpatrywać w towarze. Do znacznie-szych domów przybywał sam handlarz i rozkładał swój towar pokuszający.

Ujrzawszy ciągnącego ku Nossen starego z Drezna znanego mu przekupnia, Zaklika go zatrzymał. Przypomnieli się sobie, bo u niego dla swoich Wendów nieraz podarki kupował.

— W Nossen — rzekł — możecie, mości Treue, zrobić dobre interesa: na zamku siedzi hrabina Cosel. Choć uwięziona, sług koło niej dosyć, a grosz pewnie ma i podarki na święta zrobić zechce. Byle się tam wam do niej dostać, pewnie u was dużo kupi.

Treuemu aż oczy zabłyszczały.

— Dziękuję — zawołał, podając rękę — za dobrą radę, na myślby mi to nie przyszło.

— Biedna to teraz kobieta — dodał Zaklika — ale jej resztki więcej warte, niż nasze bogactwa. A słuchajcie, panie Treue, jak się tam wproście do niej, to jej po cichu starego sługę przypomnijcie, bom ja niegdy u niej służywał.

— A cóż powiem? — zapytał Treue.

— Powiedzcie jej, że wierny jej sługa, co podkowy łamał, żyje i chodzi po bożym świecie. A z Nossen dokąd pociągniecie? — zapytał przy rozstaniu Rajmund.

— Z Nossen już chyba nazad do domu, bo i święta za pasem, to je z dziećmi i żoną przebyć trzeba! — rzekł, w głowę skrobiąc się, Treue.

— No, to może do zobaczenia gdzie na gościńcu, bo ja za zającami chodzę, to się może spotkamy.

Treue, jak wszyscy handlarze, gdy im o zysk chodzi, umiał sobie radzić. Przybywszy do miasteczka, odpocząwszy, udał się zaraz na zamek. Żołnierze go precz chcieli odpędzić; narobił wrzawy takiej, że aż oficer wyszedł. Z tym łatwiej było porozumieć się, ale posłał wprzód zapytać hrabiny, czyby co kupić chciała. Dla samej rozrywki i widzenia nowej twarzy, Cosel kazala puścić przekupnia.

Nędzny był kramik biednego Treue i nie dla tak pańskich przeznaczony oczu, ale w osamotnieniu i niewoli wszystko rozrywką. Roztargnioną ręką rozrzucala pogardliwie te ubogie towary Cosel, gdy Treue, dopatrzwszy chwili, w której nikogo nie było, zbliżył się do niej i rzekł po cichu:

— Kazano mi powiedzieć pani, że jej wierny sługa, co łamał podkowy, żyje i chodzi zdrów po bożym świecie.

Zdziwił się niezmiernie Treue, gdy ujrzał na twarzy hrabiny jakby blask nowego życia, promień radości, który ją przeleciał i oświecił.

— Kto ci to powiedział? — spytała.

— On sam, on sam, jasna pani — odparł Treue — spotkałem go tu w okolicy podobno na myśliwstwie.

Po tych słowach hrabina szybko zakupiła, co jej pod rękę wpadło, i Treue zdziwił się niepomału, jak mu szło w targu szczęśliwie. Nakupiwszy podarków dla służby, kazawszy sobie powtórzyć słowa te, które ją o Za-

klikę uspokajały, hrabina odprawiła Treuego. Wyszedł z zamku uszczęśliwiony. Targ w gospodzie nie mniej mu się powiódł, aż zanocować musiał. Nazajutrz puścił się nazad drogą do Drezna, o milę od Nossen nastreczył mu się znowu Zaklika. Stał wózek, powitali się jak do-
brzy przyjaciele.

— A cóż? — zapytał Polak — powiedzieliście też o mnie?

— Aha? a jakże! — rzekł Treue — i hrabina widocznie była ucieszona tą wiadomością. Zrobiłem wistocie dobry interes na zamku i w miasteczku. Bóg wam zapłać.

Zaklika chciał mu powiedzieć, że też dobry uczynek spełnił, ale z tem się powstrzymał.

W Dreźnie tymczasem ciągnięto śledztwo z uwięzionych. Herzog miał nadto rozumu, żeby się przyznał do czego, choć naówczas mogli go wziąć na pytki pierwsze i drugie i męczyć, pókiby się nie przyznał. Zaniechano jednak tego i puszczono obwinionego, odbierając mu miejsce tylko; kobiety wyszły z więzienia niewynagrodzone i wymęczone, ale przestroga w las nie poszła.

Król August, sam teraz obawiając się hrabiny, pilno czuwał nad jej losem. Znał ją nadto, by mu groźną nie była. Na pierwszą wiadomość o pogłosce, iż ucieczka zamierzona została, rozgniewany nakazał daleko warowniejszy zamek Stolpen przygotować na więzienie dla Cosel. Była to ta twierdza na bazaltowych słupach zbudowana, w której niegdyś biskupi meisseńscy swoich więźniów zamykali; to samo miejsce, które przed laty szczęśliwa Cosel zwiedzała z król gdzie z nim razem bje-

siadowali w zwierzyńcu; ten zamek, na którego drodze spotkała starą Mławę i wróżby pierwsze przyszłego losu...

W tejże chwili wysłano do Stolpen rozkazy, aby wieżę świętego Jana na mieszkanie oczyszczono i przygotowano. August gniewny był i obrażony. Nieugięty umysł tej kobiety uragał się z jego władzy i potęgi, jedna niewiasta śmiała upominać się o dotrzymanie przyrzeczeń, o królewskie słowo i rzucać mu wiarołomstwem w oczy. Było to zuchwalstwo niedarowane, nieprzebaczone, a kto gniew pański ściągnął na siebie, dla tego nie było litości.

Na dwa dni przed wigilią świąt ruch powstał w zamku niespodziany; z Drezna przysłano powóz i konie, straż nową i rozkaz króla, ażeby Cosel do Stolpen przewieziona została.

Zdumiony oficer przez litość nie śmiał wejść do hrabiny z tym rozkazem nowym, który cięższy, jeśli być może, los jej jeszcze zwiastował.

Cosel, na pierwszy szmer niezwykajny w zamku, zerwała się z siedzenia, na którym zatopiona w kartkach poszarpanych starej biblii siedziała. Rzuciła się ku drzwiom.

Były chwile jeszcze, w których po sercu Augusta (kochała go nieszczęśliwa) spodziewała się litości, sprawiedliwości, uczucia. Zdało jej się, że na święta nadchodzące przysła jej w podarku wolność.

Drżąc stała w progu, gdy urzędnik w peruce wszedł z głębokim ukłonem. Zjawienie się podobnego gryziopórka było dla niej zawsze najgorszym zwiastunem. Trzy-

mał papier w ręce, a okulary w drugiej: ręce mu dygotały.

— Czego ty chcesz? — zawołała Cosel.

— Rozkaz najjaśniejszego pana, który natychmiast spełniony być musi — rzekł ochrypłym głosem urzędnik. — Pani hrabina przejeżdża do Stolpen, przeznaczonego jej najlaskawiej do dalszego pobytu.

Z okropnym krzykiem, ręką zasłaniając sobie oczy, hrabina rzuciła się ku ścianie, jakby się o nią rozbić chciała. Na widok tego szалу podbiegły wchodzące kobiety i pochwyciły ją pod ręce. Jednym ruchem pozbyła się obu. Wrzask dobył się z ust jakby obłąkanej, potem ryk i jęk... Urzędnik stał wryty, przerażony, nie wiedząc, co począć.

Niemal gwałtem musiano hrabinę sprowadzić do oczekującego na nią powozu.

W konwulsjach, bólu, płaczu i osłupiałem milczeniu naprzemiany wieziona, dnia 25 grudnia 1716 r. stanęła w bramie Jana i Donata i, oczy zalzawione podniósłszy, ujrzała przed sobą groźną wieżę Święto-Jańską, przeznaczoną jej na więzienie.

VI.

Stary zamek Stolpeński był naówczas już napół ruiną. Kilkakroć wierzchołki jego wieżyc ogień z nieba drzgotał, paliły się stare budowy i, podtrzymywane, opustoszałe, ledwie małą załogę pomieścić w sobie mogły. Dawne mieszkanie biskupów w części przerobione zostało, w części się rozpadło w gruzy; dowódca zamku, Jan Fryderyk von Wehlen, zajmował sam niewygodną basztę. Dla uwięzionej, nieszczęśliwej ulubienicy Augusta przeznaczono jedną wieżę, Johannisthurm, wieżę jeszcze za biskupów więzieniem będącą, której piętra, każde z jednej obszernej izby sklepionej składające się, nosiły dotąd nazwania, świadczące o dawnym przeznaczeniu.

Dawnej pani pałacu czterech pór roku starczyć teraz musiały dwie jeszcze mieszkalne komnaty. Niższe piętro, Burgverliess, już naówczas gruzem zasypane, dawno było niemieszkalne. Dwa wyższe: Johannis-gefängniss i Richtergehorsam, przygotowano dla hrabiny. Jedno z nich przeznaczone było na kuchnię i dla ludzi, drugie dla niej.

Gdy wydobytą z powozu, niemal znowu siłą wwiedziono hrabinę do ciasnej sześciokątnej izby, na przestrzał oknami wązkimi oświeconej, ubogiej, nędznej, smutnej; gdy obejrzała się dokoła, rzuciła się ze wściekłością, którą hamować musiano, jakby głowę zboląłą roztrzaskać chciała o mury. Naprzemiany znowu to osłupienie, to łzy, to szal i wściekłość opanowywały ją, tak, że nieustannie straż czuwać nad nią musiała. Świadomi jej losów, choć najobojętniejsi ludzie, od wzruszenia, patrząc na nią, powstrzymać się nie mogli. Jej piękność, niedola, rozpacz wyciskały łzy. Dodani jej stróże i sługi, które dobrano umyślnie, aby ich przekupić ani litości obudzić nie mogła, stali osłupieni widokiem tego bezprzykładnego szalu, co chwila zdającego się grozić śmiercią.

Ile razy oczy jej zwróciły się na ściany izby, na wiszące nad nią ciężkie sklepienie, na drzwi zaparte, powracał ryk i szal a po nim omdlenie i łzy.

Wehlen, stary żołnierz, który nigdy z kobietami nie wojował, twarda natura zdrewniałego pod mundurem człowieka, tracił głowę i cierpliwość. Smutno mu było zostać wykonawcą wyroku nad kobietą, której niedola przechodziła siły. Pierwszy ten dzień święta, obchodzonego w całych Niemczech z taką radością i uroczystością rodzinną u domowych ognisk, zatruty został Wehlenowi widokiem scen rozpacz. Żołnierze pod murami chodzący na wartach stawali przerażeni głosem, który się z zamku dobywał. Zdało się, jakby dawne izby tortur odbremniały jękiem wszystkich ofiar swoich z przed wieków.

Noc przeszła w tym niepokoju i dzień następny ze łzami, a potem omdlenie milczące trzymało ją na łożu wół umarłą zgnębieniem. Kobiety szeptały między so-

ba, że nie wytrzyma i skona. Trzeciego dnia Cosel porwała się z łoża... zażądała papieru. Chciała pisać do króla.

Przewidziano to żądanie, listy odsyłane być miały Löwendhalowi i niszczone natychmiast... z zakazem, aby je kto śmiał otwierać.

Zastrzegł się August od wpływu tych rozpaczliwych jęków, nie dopuszczając ich do siebie. A nużby one obudziły litość, poruszyły, zniecierpliwily, czoło królewskie okryły wstydem.

Skazane więc były na spalenie. Ale nie broniono niewolnicy łzami je zlewać dni całe. Wysłany list, który szedł w ogień, nie dochodząc rąk królewskich, dawał jej chwilę nadziei. Myślała, że choć jeden z wielu, choć trafem który dojdzie do Augusta. Wierzyła jeszcze w serce jego.

Gdy pierwsze wybuchy rozpaczły przeszły, z przerażeniem rzuciła oczyma dokoła. Z pierwszej bytności swej na zamku przypomniwała sobie te mury, które ją wówczas przeraziły posępne ściany swemi. Z okien ich widać było zębate kurtyny, otaczające zamek, górę okrytą lasem i w dali sine wzgórza puste, a kraj jakiś jakby bez ludzi.

Rzucono ją tu na łup samotności, wspomnieniom, dozorowi żoldactwa, znęcaniu się sług, którzy byli razem klucznikami więzienia i oprawcami ofiary.

Za najmniejszym przewinieniem tego jej naznaczonego dworu, grzmiał chrypliwy głos Wehlena, który nie rozumiał najmniejszego pobbazania wobec swoich rozkazów.

Z Drezna otrzymał on polecenie jak najsurowszego

dozoru, pod odpowiedzialnością, która naówczas łatwo aż do utraty życia rozciągnąć się mogła. Ci, co pisali instrukcje, nakazywali wprawdzie grzeczność dla kobiety, ale dla więźnia dozór, któryby nawet marzenia ucieczki rozproszył. I na pierwszy rzut oka była ona niepodobną. Zamek otaczały mury dokoła, wieża świętego Jana wznosiła się ponad nimi wysoko, oknami poprzerzynana tak, że straż niemal co chwila mogła, podniósłszy oczy, widzieć niewolnicę. Dwa podwórce, bramami warownemi zamknięte, przejść było trzeba, aby się dostać do stóp wieży.

We wrotach chodziły straże, przy murach byli żołnierze; sam zamek na wysokiej górze, panującej okolicy, każdego doń przychodzącego wystawiał na widok mieszkańców nieopodal leżącego miasteczka.

Oprócz komendanta twierdzy i kilku oficerów na to wygnanie skazanych, oprócz niewielkiej garści żołnierzy, zamek prawie nie miał innych mieszkańców. Służba hrabiny stanowiła wyjątek. Ona także dzieliła jej więzienie. Nikomu z ludzi do miasteczka nawet wyjść bez pozwolenia nie było wolno. Bramy zamykały się wcześniej.

Twierdza wprawdzie, jako miejsce obronne, mogła mieć pewne znaczenie. Leżała blisko granicy Czech, broń saskich rubieży, ale stąd dawno żadna nie zagrażała wojna i opuszczono ją powoli. Königstein i Sonnenstein, te za niezdobyte naówczas uważane fortece, odebrały Stolpenowi dawną jego ważność. Nie bardzo też pilnie strzeżono zamku aż do przybycia hrabiny. Ten więzień stanu, ta winowajczyni, co śmiała się mniemać królową i nie chciała zwrócić pisma pańskiego, ściągnęła dopiero czujność całą ku opuszczonym murom.

Stary Wehlen, który nie widział pono nigdy hrabiny, a z niewierności króla wnosząc, wystawiał ją sobie zestarzałą i zbrzydłą — osłupiał, gdy ją po raz pierwszy zobaczył. Cosel miała naówczas trzydziesty szósty rok życia, lecz szczególny dar boży nadał jej wiekuiłą młodość; śladu przebytych cierpień widać na niej nie było i nigdy może ani piękniejszą, ani ponętniejszą nie była. Blask jej oczu, białosc i świeżosc twarzy, majestatyczna postać, kształty snycerskie, wprawiały w zdumienie tych, co na nią patrzyli. Jakby urągając się upokorzeniom, które ją spotykały, Cosel przybrała tu postawę, obyczaj, mowę panującej. Rozkazywała... a w słowach jej przebijała się tem większa duma, im nieszcześliwsze stawało się położenie.

Jakże tam dni płynęły nieskończenie długie, nieprzeżyte, jednostajne. Cosel miała na zapełnienie ich wspomnienie tylko... a czasem... czasem wracającą nadzieję. Przeklinała okrucieństwo Augusta i nie umiała razem pojąć, aby ono trwać mogło, aby ten, co ją zdawał się kochać tak czule, mógł stać się dla niej tym niemym katem bez duszy.

Listy, które pisała, stały się dla niej potrzebą i nałogiem. Po milczeniu domyslać się mogła, że rzuciła je w otchłań bezdenną, a jednak, jednak ulgę czuła, gdy myśl jej wylała się na ten papier, który być mógł tylko uragowiskiem dla ludzi.

Zrobiłaż co tak złego, ażeby się wiecznie nad nią znęcać miano? nawet pozbawić ją dzieci, pod pozorem, że mogła w nie tchnąć tę nienawiść ku ojcu, którą paliła przeciw niemu.

Gdy z Nossen chwymano na prędcę, co należało do

uwięzionej, ktoś rozproszone kartki biblii zagarnął. Przyszły one tu z nią, i hrabina zaczytywała się w nieśmiertelnej księdze, w której tyle ludzkich wycisnęło się boleści. Te poszarpane karty, których część wiatr poroznosił, wzbudziły żądanie całej księgi. Posłała do Wehlena rozkaz, aby jej biblię kupiono. Komendant odniósł się do Dreżna, kazano spełnić żądanie... biblia odtąd nie zeszła z jej stołu. Na jej kartach znajdowała jeśli nie pociechę, to zapomnienie. Uczyla się z niej, czem od lat tysięcy było życie: długą męczarnią przedgrobową.

Tak ją tu zastała wiosna... wiosna... w której się wszystko budzi wesole i młode do życia, a która dla niej śmierć tylko przedłużać miała. W sąsiednich drzewach zaczęły przelatywać żwawe ptaki, jaskółki przybyły do starych gniazd na wieży, aby je lepić nanowo; drzewa zaczęły zielenieć i roztwierać się listkami ku słońcu. Ponad światem falami płynęło wonne ciepło, kwiatów westchnieniami zaprawne. Nawet około pustego zamku rozbudziło się do życia, polami szły plugi i ludzie się przesuwali wolni... gromadami, ona jedna była sama i przykuta. Stanawszy w oknie i goniąc oczyma zdalą ujrzaną postać, zgadując ją, wcielając się w jej byt, Cosel zadumywała się godzinami i nie wiedziała, jak czasem żołnierz stojący na straży, tak samo oślepiiony jej pięknnością, wpatrywał się w nią, zapominając o sobie i pytając, co tak piękna istota tak straszego popełnić mogła, by ją na niewolę skazano? Stary Wehlen, chodząc z fajką po wałach, nieraz sam patrzył ku górze i czuł, że mu się robiło w myślach gorzko, na sercu ciężko, że mniej kochał swego wspaniałego pana Fryderyka Augusta.

Robiło mu się żal. Za całą przechadzkę wązkie schody i dziesięć kroków komnaty! i wiecznie to duszące sklepienie powietrza, którego słońce ogrzać nie mogło... i wiecznie listy, co szły na stos, lub biblia i lzy!

Wehlenowi nawet żal się z piersi dobywał.

U stóp wieży świętego Jana był mały klinek ziemi opasany murem twierdzy i ścianą wieży: miejsca tyle, jak na dostatni grób człowieczy. W tym kątku kwitły piołuny i macierzanka i dzikie gwoździki różowe. Po murach czepiały się żdzblał trawy i posiane przez wiatry nienazwane kwiatki ubogie. Wehlen pomyślał sobie: gdyby choć ten ogródek!... Ale na ogródek nawet trzeba było pozwolenia, bo on był ulgą, słodyczą, pociechą, a zbuntowanej kobiecie dać trochę litości, było ją uzuschwalić. Sam więc stary zrobił tu sobie ogródek, myśląc, że choć popatrzeć na kwiatki miło będzie tej, co sama jak kwiat pański zwiędła na lodydze.

Cosel wyjrzała w ten kątek i zobaczyła, że go kopano; przyszedł jej na myśl grób: odwróciła się... Dopiero, gdy wiosna, co tak żwawo sieje i rodzi, wyprowadziła tu kwiaty, Cosel się im uśmiechnęła. Nie takie miała w swych ogrodach i w Hesperyd ogrodzie i w Pillnitz, a teraz i tych mieć nie mogła.

Zdawało jej się, że, gdyby zamiast na kamieniach mogła choć usiąść na ziemi i przytulić się do niej, odżyłaby znowu. Myślała, że kwiaty byłyby dla niej powiernikami i towarzyszymi. Lecz prosić o to nie mogła królowa, cierpieć wolala. Witała zraną ogródek i żegnala go, gdy pachniał wieczorem.

Stary Wehlen kazał jej powiedzieć słudze, że ten ogródek jest dla niej, że go sobie objąć może. W istocie

uciec stąd było niepodobna, o trzy kroki chodziły aż dwie straże.

I pewnego poranku Cosel zeszła ze schodów bez przeszkody, aby swój ogródek zobaczyć; powietrze zdało jej się upajającym, słońce nieznośnem, światło oślepiającem; potrzebowała czas jakiś wsparta o mur spocząć, póki nie przyszła do siebie.

Odtąd ogródek stał się jej całą zabawą i całe dni w nim spędzała, rękoma własnymi pielęgnując kwiatki, które przywozić sobie kazała. Niewiele ich było, mogła więc, znając krzaczek każdy i pielęgnując z osobna, wlać weń życie i oczyma go wychowywać.

Tak zeszła wiosna i lato, bez żadnej zmiany, bez żadnej nawet jej nadziei. Głucha cisza otaczała ją ciągle, na listy nie było odpowiedzi, z dawnych znajomych nikt się nie zgłosił. Z ogromnych skarbów jej, zabranych dla dzieci, rozerwanych przez chciwe ręce, płacono jej około trzech tysięcy talarów, które mogła na swoje obrócić potrzeby. Ale o tych komendant zamku wiedzieć musiał. Wpuszczano tylko osoby niepodjęrzane, handlarzy i przekupniów, a i ci wprzód musieli się poddać starannemu opatrzeniu, aby z sobą nie wnieśli pociechy lub nadziei.

Od przybycia swego do Stolpen, hrabina oczekiwała Zakliki, ale upływały miesiące i ogródek przekwitał, a słyhu o nim nie było; aż jesienią późną Żyd, który przyniósł jej coś na sprzedaż, gdy odeszły sługi, obejrzawszy się wokoło bojaźliwie, szepnął, że ten, co podkowy łamał, żyje i kiedyś się pokaże.

Dosyć było tych wyrazów, aby już uśpioną obudzić nadzieję. Przybyły poseł nic więcej nie wiedział.

Zaklika tymczasem ani na chwilę nie spoczywał. Zawiedziony w przygotowaniach swych do wykradzenia hrabiny z Nossen, musiał wszystko rozpocząć nanowo. Nie tajono bynajmniej, iż Cosel wywieziona została do Stolpen i osadzona na wieży.

Okrucieństwo to oburzające starano się przed ludźmi usprawiedliwić, rozpuszczając pogłoski, że Cosel jeszcze w Berlinie starała się uknuć spisek na życie króla, że się odgrażała na niego i że, dotknięta obłąkaniem, miała się być królową. Po cichu domawiano sobie, co żadną nie było tajemnicą, że August sam się wstydził słabości swej i lekkomyślności, z jaką w jej ręce dał cyrograf na siebie, za życia żony, obiecując ją poślubić.

Tego przyrzeczenia w istocie, pomimo ciągle ponawianych żądań, odebrać jej nikt nie mógł, ani go nawet przez najściślejsze poszukiwania znaleźć.

Pierwszy to raz z takim okrucieństwem postąpił sobie August i przeraził nim nawet Denhoffową, chociaż ta ani tak wielkiem przywiązaniem króla, ani tak wysoko sięgającymi nadziejami pochlubić się nie mogła.

Dwór nowej pani wprawdzie był dosyć świetny, ale bliższe jej otoczenie żadnego politycznego znaczenia nie miało; ona też, oprócz zabaw i rozrywek, nie panowała nad niczem.

Ci nawet, co ją wynieśli dla pozbycia się niebezpiecznej Cosel: Flemming, Manteufel, Friesen, Lagnasco, Vitzthum, zdala się od niej trzymali. Jeden Watzdorf, któremu się śniło, że przez nią potrafi obalić Flemminga, przywiązał się do niej i zasługiwał, wyrabiając od króla znaczne podarki, które Denhoffowa nieopatrznie roz-

praszała, nieraz na jeden wieczór po 10,000 talarów wydając na szumne zabawy.

Wtedy już nawet, niewiele rachując na króla i myśląc o wycofaniu się z niebezpiecznych łask jego, ogłądała się na Besenvala i na młodego Lubomirskiego, którzy się zdawał do niej przywiązywać.

Augusta zimne i obrachowane obejście się z tymi, którzy w największych u niego wprzód byli łaskach, i innych faworytów ostrzegało, aby się zawczasu wycofać starali i zabezpieczyć od kaprysu, który ich mógł w jednym dniu pozbawić wszystkiego. Tak Hoym, mąż pani Cosel, którego król potrzebował, ale nie lubił, zapatrzwszy się na los Beichlinga, na to, co spotkało Imhoffa po altranstadzkim traktacie, wreszcie pierwszą jego żonę, nie miał pokoju, dopóki się nie zabezpieczył. Posprzedawał dobra swe w Saksonii, powywoził pieniądze i, wystąpiwszy ze służby saskiej, cofnął się na Śląsk. Taż sama obawa nie dawała spocząć marszałkowi Schulenburgowi. W tym roku, gdy hrabina uwięziona została w Stolpen, Hoym dobra ostatnie zamienił z Flemingiem i pojechał z smutku i tęsknoty dokonać życia w Wiedniu.

Z Denhoffową kończyły się panowania wszechwładnych metres na królewskim dworze. Aktorowie tych dramatów i intryg, któremi żyło otoczenie Augusta, starzeli i wymierali, on sam tracił smak i ochotę szumnych rozrywek. Jeden jeszcze jarmark lipski po dawnemu rozrywać go umiał i na chwilę ożywić.

Zaklika długo myślał, co począć z sobą i jakich użyć środków, aby się do Cosel przybliżyć. Stolpen prawie mu nie było znane, pojechał je obejrzeć zblizka. W mia-

steczku stanąć mógł bez niebezpieczeństwa, nie zwracano bowiem zbyt wielkiej na podróżnych bacności; tu się też dowiedział, jak w zamku gospodarowano, kto na nim dowodził i że przystęp do niego nie był łatwy. Odjeżdżając, okrażył zamek i zwierzyniec ze wszystkich stron, szukając doń łatwego przystępu. Nie znalazł żadnego.

W pierwszym zwłaszcza roku pobytu hrabiny czujność była wielka, a do środka, nie będąc osobiście dowódcy znajomym, wcale się dostać nie było podobna.

Zaklika łamał sobie głowę nad zadaniem i powrócił do Drezna z postanowieniem ukazania się jawnego i szukania drogi, jakaby mógł Cosel usłużyć. Znajomych z dawnych czasów pozostało mu wielu, przyjaciół żadnych. Zjawiali się wszakże teraz codziennie przybywający z Polski panowie, przez których wpływ coś tu sobie wyrobić było można. Zaklika marzył, iż powinien wrócić do służby wojskowej, a raz wdziawszy mundur, starać się jakimkolwiek sposobem dostać do załogi w Stolpen stojącej. Droga była długa i trudna, lecz ten, co ją przedsiębrał, miał za sobą żelazną wolę i poświęcenie bez granic. U panów polskich imię jego, starej rodziny, było już pewnem zaleceniem.

Ukazanie się jego na dworze obudziło zrazu pewne zdziwienie. Wszyscy wiedzieli, że był przy hrabinie Cosel, nikt nie dopytywał, co się z nim stało po jej upadku. Zaklika oświadczył śmiało, że jakiś czas u rodziny w kraju przebywał. Chwilowe przybycie do Drezna Sieniawskiego, biskupa kujawskiego, którego za młodu znał, dało mu pochop starania się przez niego o pozwolenie kupienia szarży kapitańskiej w wojsku saskiem. Król,

na wzmiankę o nim, brew namarszczył, kazał mu się sobie przedstawić. Przez kilka lat go nie widział i dużo zmienionym znalazł; podejrzliwem okiem mu się przypatrywał, ale, znalazłszy go śmiałym i spokojnym, dowiedziawszy się od niego, iż dobrowolnie hrabinę porzucił, przeciw wstąpieniu do wojska nic nie miał. Szło tylko o kupno szarży, które mu zaraz nastęczono. Zaklika miał coś groszą powoli uzbieranego oszczędnością tam, gdzie się on często sypał obficie: dobito więc targu z Niemcem i nasz bohater wdział znowu, tym razem inny i wspanialszy mundur, niż przedtem. Służba była z wielu miar nieznosna, chociaż dla ludzi, co roztargnienia lubili, przyjemna. Wojska, które się w Polsce nie uganiały za konfederatami, więcej służyły do parady i zabawy, niż do surowszych zajęć wojskowych.

W wojsku *) oficerowie często po całych latach pułków swoich nie widywali, czasu zimy oblegali przedpoje, a latem w obozie wcale ich spotkać nie było można. Siedzieli po domach i żyli z pieniędzy zebranych na zimowe leże, opowiadając o cudach waleczności, jakich dokazywali przed zdumionymi kobietami. Nie szanowano ani rozkazów, ani rozporządzeń, życie wiedziono bez skrupułu, a żołnierz, odarty z pierwszych potrzeb życia, pokutował. Współcześni świadczą, że nowe pułki, które sztyftowano, na które brano pieniądze, wcale się nie ścierały, a rekrutowanie ich starym przeszkadzało się dopełniać. Nieustanna zmiana starszyny rujnowała skarb, a szła na korzyść komisaryatu i oficerów. Co było w kraju najmniej zdolnego, znajdowało się w wojsku: awan-

*) Wolframsdorf.

turnicy, rajfury, gracze, lichwiarze, pieniacze, a procesy między oficerami były nieustanne. Generalowie żyli z żołnierzy, a ci, do rozpacz przyprawieni, musieli na wzór oficerów szukać chleba powszedniego, nie patrząc, jak go dostawali.

Margrabia Ludwik Badeński, pod którego dowództwem był kontyngens saski w 1703 roku na wojnę o spadek hiszpański przysłany, tracił głowę, nie mogąc sobie z nim dać rady. Często w marszu, gdy pośpieszać było potrzeba, znajdował ich wywczasowujących się w szlafrokach. Historia pułkownika Görtza i jego wyjścia z Polski w roku 1704 stawia także dobry przykład karności wojska saskiego. Görtz, którego aresztować miało za niepocziwe prowadzenie oddziału, a zbytnie pamiętanie o sobie, tak dobrze manewrował, że tych, co jego mieli przytrzymać, osaczył i wziął.

Właśnie to rozprężenie posługiwało Zakliki zamiarom, wszystko tu było do zrobienia pieniędzmi. Towarzystwo, w które wszedł, nad hulankę i wesołe życie, prędki zarobek i roztrwonienie ochocze nic droższego nie miało. Obyczaj i przykład dworu szczepił się w wojskowych; patrząc na parady dawane dla pięknych pań i szturmę przy puharze do półmisków królewskich, nie brali powołania swego na seryo. Gdźieniedzie wśród tej zbieranej drużyny, w większej części z obcych: Francuzów, Włochów i przybłędów różnych złożonej, trafił się rzadki człowiek, co żołnierzem być chciał i umiał. Z takiego się tylko wyśmiewano. Nic więc łatwiejszem nie było dla Zakliki, jak, wdzawszy mundur i zapoznawszy się z towarzyszymi, przygotować sobie drogi dla

dostania się na zamek stolpeński, w którym pobyt nikomu się nie uśmiechał.

Stary Wehlen, o którym zasięgnął wiadomości, człowiek spokojny, dobry w gruncie, po całych dniach grający w warcaby i palący fajkę, nie zdawał mu się trudnym do oszukania.

Cosel zdziwiła się mocno, po milczących kilku miesiącach odbierając znowu poselstwo tajemnicze przez wędrownego Izraelitę, które jej zwiastowało przybycie tego, co łamał podkowy.

VII.

Nadeszła druga wiosna i po raz wtóry zazieleniało w ogródku, też same kwiatki podniosły z grządek wskrzeszone głowy ku powracającemu słońcu. Cosel otworzyła okno, dzień był ciepły, cisza w powietrzu; zdala w zwierzyńcu las i drzewa szumiały, ale ich szumu uchem tylko słuchać mogła. Ze schodków tuż schodziło się do małego wydzielonego jej kąta ziemi, a i ten dla niej był łaską człowieka, który się jej ulitował.

Niejeden raz już tak w ogródku swoim siedząc pod zbudowaną dla niej małą laubą, widywała przechodzących podwórzem, od którego nizki przymurek ją dzielił, żołnierzy i oficerów załogi. Nie lubiła wprawdzie dumna pani, aby się jej upadłej wielkości przypatrywano, lecz znękana potem witała twarz ludzką, zapominając, że była królową. I niejeden żołnierz mimowolnie stanął, wpatrując się w nią z politowaniem, a młodszy oficerowie tracili głowy, gdy długo wystawieni byli na ogień czarnych jej oczu.

Jednym z tych, co się najdłużej zawsze przechadzali,

szukając pozoru jakiegoś, aby się zbliżyć do ogródka i przypatrzeć pięknej Dyanie, bo ją tak zwano od czasu, gdy w osobie bogini występowała na wjeździe bogów, był młody Wehlen, synowiec komendanta. Stary go tu trzymał przy sobie, po części dlatego, żeby mieć kogoś mu-strować bezkarnie i sadzać godzinami do grania z sobą w warcaby, w części dla skutecznego zajmowania się jego wojskową karyerą.

Henryk von Wehlen wcale w niej zamilowania nie miał, ale matka owdowiała, spodziewająca się spadku po komendancie bezdzietnym, który uchodził za majątnego, bo był dosyć skąpy, zmusiła syna, by się poddał jego rozkazom.

Młody, dwudziestoletni Wehlen nudził się śmiertelnie na bazaltach stolpeńskich, lecz wyrwać się stąd nie mógł.

Jakiemże to szczęściem dla młodego, rozmarzonego samotnością chłopaka było przybycie tego nieszcześliwego, a tak pięknego więźnia do pustego zamku! Z pierwszego wejrzenia na Annę, Henryk stracił głowę. Nie pojmował on, jak mógł kto mieć odwagę tak piękną istotę, taki ideał bóstwa ziemskiego zamknąć wśród murów tych i dać mu zamierać powoli. Z młodzieńczą pierwszą miłością, czystą, egzaltowaną, tajoną a gwałtowną, rzucił się Wehlen ku pięknej pani, aby jej służyć i przynieść ulgę w niedoli. Stary komendant wcale nie dojrzał w synowcu rodzącego się uczucia, ani się go mógł domyślić. On był najprozaiczniejszym z ludzi, i dla niego dwie młode niewiasty zupełnie sobie były równe. Uśmiechał się dawniej do wszystkich: teraz do żadnej.

Nieznacznie Henryk poddał mu ową litość, która stworzyła ogródek u stóp wieży, a później inne drobne usługi dla hrabiny. Zastępując często komendanta, był tu niemal panem na zamku, i Cosel, która rzadko nań okiem rzucić raczyła, wiedziała dobrze, iż na niego rachować by mogła. Woląла wszakże czekać na Zaklikę.

Jakież było podziwienie jej i radość, gdy pierwszy raz, schodząc do wiosną ożywionego ogródka, Cosel zobaczyła w podwórzu razem stojących i w dobrej zgodzie rozmawiających z sobą ludzi, Henryka Wehlena i Zaklikę. Ostatniego poznała po głosie, bo go nowy strój wojskowy zmienił zupełnie.

Dochodziła ją rozmowa dosyć głośna. Zaklika opowiadał, że podjął się tu zająć miejsce kapitana Zitaunera, któremu pilno było do rodziny pojechać.

Henryk i on zdawali się już dobrymi przyjaciółmi.

— A! kapitanie von Wehlen — mówił drugi kapitan, von Zaklika — nie wesoło tu u was na tych starych gruzowiskach mnisznych. Gdybym był wiedział, że tu na skale takie pustkowię, taka nuda...

Henryk wszakże nie zdawał się wcale znudzony.

— A i mój panie — kto chce się bawić, temu się do Stolpen niema co wybierać, ale spokojnie patrzeć na piękną naturę i żyć sobie cicho... bardzo można.

Cosel słuchała, oczy odwróciła, aby nie dać poznać, że ją rozmowa obchodzi, ale serce jej uderzyło mocno.

— Kapitanie Wehlen — rzekł Zaklika — jeśli to nie jest grzechem, tobyście mnie, jako nowego przybysza, powinni hrabinie przedstawić.

— Z całego serca — zawołał Wehlen, któremu

pretekst ten zbliżenia się do pani Cosel był bardzo pożądanym.

Obaj razem podstąpili pod murek ogródka, znajdującego się znacznie wyżej, niż podwórze, na którym stali. Kapitan Wehlen pozdrowił hrabinę.

— Pozwoli pani przybyłego tu kolegę sobie przedstawić, kapitana von Zaklika.

Cosel zwróciła się niby obojętnie, lekkim skierowaniem głowy pozdrawiając zaledwie przybyłego, który stał zbladły, wzruszony, wpatrując się w to drogie, piękne oblicze, promieniejące jeszcze tym samym wdziękiem, jakim mu niegdyś zajaśniało z między lip Laubegastu.

Hrabina nie odezwała się ni słowa zrazu.

— Jesteście tu gościem? — spytała po dłuższej chwili milczenia, zniżając się do kwiatków.

— Ale zdaje się, że nim pozostanę czas dłuższy, bom tu na służbie, a nie łatwo się znajdzie, ktoby tu chciał zastąpić towarzysza.

— O! to pewna! okropniejszego więzienia nad to nikt wymyślić nie mógł — zawołała hrabina. — W lochu ciemnym nie widzi się świata i zapomina o nim, tu cały dzień szeroki widnokrąg przed oczyma, ptaki, góry, lasy, drzewa, życie, a między nim a mną mur nieprzebity!

Wojskowi stali niemi.

— Cóżcie wy zgrzeszyli, że was tu posłano? — dodała.

Zaklika umilkł.

— Los chciał — rzekł — jam już niemłody: nigdzie mi nie jest weselej.

Sklonili się i odeszli.

Wehlen, porwawszy pod rękę Zaklikę, poprowadził go żywo w trzecie podwórze zamkowe, gdzie zajmował parę izdebek obok stryja i towarzyszowi też postarał się blisko dać przytułek.

— Kapitanie Zakliko — zawołał — wy pewnie widzieliście po raz pierwszy w życiu reichshrabinę Cosel. Cóż powiecie na tę królewską piękność? Nie jestże to kobieta tronu warta, co, stracona z jego stopni, jeszcze ma taki majestat na sobie? Co to za piękność! co za gwiazdzista twarz!!!

Mówił to z takim zapalem, czerwieniejąc, iż odrazu wydał się ze swą tajemnicą, z którą może i ukrywać się nie myślał. Spojrzał na Zaklikę: ten stał zamyślonny, oparłszy się o stół.

— Kapitanie Wehlen — rzekł krótko — nie dziwuję się nic wcale, lecz z twoich wyrazów, z twego zapachu, mógłby kto cię posądzić, żeś się zakochał...

Wehlen uderzył się w piersi.

— Obaśmy żołnierze — zawołał — i uczciwi ludzie: na co się mam zapierać; straciłem głowę, patrząc na nią! Ani się wstydzę. Takich kobiet dwóch na świecie niema.

— Ale na cóż się to wam zdało? — uśmiechnął się Zaklika smętnie. — Kobieta, co była królową, oczu już na nikogo nie zwróci; tyle nieszczęść wysuszyło w niej serce, a w ostatku niewolnicą jest na wieki.

— A! na wieki! — przerwał Wehlen — cóż jest wiecznego na ziemi? Ona jeszcze tak mi się wydaje, że jest młodą!!

Zaklika uśmiechnął się.

— A i wy mnie wydajecie się młodzi! — dodał.

Kapitan Wehlen zawstydzil się, podał rękę nowemu towarzyszowi z dobrodusznym uśmiechem i szepnął:

— W istocie, macie słuszość! ja nim jestem! Młodym, dziecinny! to prawda; lecz oprzeć się urokowi tego wejrzenia nie jest w stanie żaden człowiek. Wi-dzieliście mojego stryja, jego siwe wasy, pomarszczoną twarz i zgasłe oczy. Cóż powiecie? patrzy na nią zdaleka tak, jakby się grzał na słońcu, i wzdycha, odchodząc do swej izdebki, dopóki przy warcabach nie zapomni o bogini. Żołnierze godzinami patrzą się na nią, jak na obraz; a cóż mówić o dwudziestoletnim, jak ja, wartogłowie?

Wehlen ze swoim uwielbieniem dla Cosel był zarazem pomocą Zaklice i zawadą. Tegoż dnia poszli razem obejrzeć zamek. A było w nim istotnie co oglądać, w siedmiowierzchniej wieży, w podziemnych galeryach i gankach.

Zaklika, wszystko do jednego odnosząc celu, starał się już obmyślać środki ucieczki. I nie było pono innego nad wyjście podziemiami z wieży o siedmiu wierz-chach do kapitulnej, a z kapitulnej do kaplicy, od której zapomniany korytarzyk wiodł niewygodną ciasną szyną na zewnątrz w stronę miasta.

Zaklika udawał, że go te gotyckie, starożytne szczątki wielce zajmują, aby się obeznać z nimi. Cały plan już snuł mu się po głowie: hrabina nocą przebrana po męsku mogła zniść ze schodów i przemknąć się na wewnętrzne podwórze. Tu nie chodziły strażę, można było łatwo w cieniu nocy i murów dostać się do drzwiczek podziemia. W miasteczku nietrudno było o parę koni, a granica cesarska pod bokiem.

Myśli te zwiły mu się po głowie, Wehlen milczenie jego brał w innem wcale znaczeniu.

— Prawda — rzekł z lekkomyślnością młodzieńczą — wam się to wydaje straszne, zamurowaniem, nieprzebytem. Wszedłszy w te lochy, zimno się robi nie tylko od powietrza, ale od myśli, że to ludzie na umęczenie ludzi sobie podobnych budowali, że się kopali, jak krety w tej górze, aby w niej ukryć występki lub zdradę, a jednak wierz mi, kapitanie, pomimo tych murów, co otaczają nas, i tych wież, i bram, i jam, i straż, łatwo się stąd wyjść i wniknąć, niżeli się zdaje.

Zaklika zamilkł.

W kilka dni potem znalazł już sposób dostania się do pokoju hrabiny Cosel, nie obudzając podejrzeń. Szło mu bowiem o to wiele, ażeby go na siebie nie ściągnął. Hrabina, milcząc, podała mu rękę do pocałowania.

— Długo, nadto długo — rzekła chmurno — kazałeś mi na siebie czekać.

— Środka nie miałem — odparł Zaklika. — Kto ostatek waży, jak ja, ten musi być oględnym. Nie o mnie mi szło, ani o życie moje; lecz o to, że po mnie, gdybym się nieroztropnie rzucił i zawiódł, nie będzie może nikogo.

Hrabina zamyśliła się.

— Miałeś słuszość — odpowiedziała — ciebie, jako najwierniejszego sługę, muszę zachować naostatek! Synowiec komendanta najprzód może być użyty.

— Jaki? do czego? — zapytał Zaklika.

— Taka jest wola moja — odparła Cosel. — Wehlen się kocha we mnie... oszalał... on zna zamek najlepiej... jest tu panem. Nie mieszaj się do niczego, zostaw mu

wolne pole, pomagaj, nie widząc, lecz nie bierz udziału... zamknij oczy. Z nim spróbuję uciec.

— Ale to nieopatrzny i szalony chłopiec — przerwał Zaklika.

— A szalonym tylko szalone się przedsięwzięcia udają — rzekła Cosel.

— Lecz jeśli się nie powiedzie? — spytał chmurno Zaklika.

— Cóż mi tam? — zimno odezwała się hrabina — uczyniaż mi co więcej nad to, co robią? Żalby mi było młodego człowieka. Wy, tak, macie słuszość, wy powinniście zostać w odwodzie.

— Młody człowiek — po namyśle począł Zaklika, z ostrożnością oglądając się ku drzwiom umyślnie trochę otworzonym — młody człowiek może nie mieć odwagi począć cokolwiek sam, i nie sędzę, żeby to miał na myśli.

— Zostaw to mnie — odezwała się Cosel — ja tem pokieruję, dobrze, iż was tu mam, ale ostatniego mego talara nie postawię na kartę...

Szmer na schodach mówić im dalej nie pozwolił. Kapitan odwrócił rozmowę, odezwał się głośno i zszedł zaraz na niższe piętro.

Ubodło go to, iż Cosel odrzuciła pomoc jego; lecz zawsze posłuszny, choć mruczając, postanowił zastosować się do jej woli.

Wehlen od pierwszych dni wziął go sobie za po-wiernika, nie zwierzył mu się jednak nic więcej nad to, że szalenie był zakochany w hrabinie i że dla oswobodzenia jej dalby życie.

— Wy przecież nie zdradzicie mnie? — zawołał, rzucając mu się na szyję.

— Ja was nie zdradzę — szepnął Rajmund — tego możecie być pewni; lecz czy się wy nie zdradzacie co chwila sami, i czy nie wydacie się nieostrożnością waszą?

Zaklika dopatrzył się wkrótce, iż Wehlen i pod ogródek na rozmowę, i do wieży pod różnymi pozorami coraz częściej chodzić zaczął. Miotał się niespokojny, jakby w ciągłej gorączce. Zaklika musiał go przy starym stryju zastępować u stolika z warcabami i na gawędzie z komendantem, która zabawną nie była, bo zwykle toczyła się około historyi rodziny saskich, obcych z rzeczy i imienia Zaklice. Henryk biegał nieustannie, a po zdwojonej jego ruchawości i jakichś przygotowaniach, których on tak łatwo mógł dojrzeć, domyslać się mógł, iż ucieczka rychło zapewne zostanie przedsięwziętą.

Niewtajemniczonemu, nie wypadło mu się narzucać, jednakże raz Henryka w dziedzińcu sam na sam spotkawszy, Zaklika szepnął:

— Na miłość Boga, panie kapitanie, nie wiem, co macie w sercu i na myśli; lecz lękam się, aby i drudzy, jak ja, nie dojrżeli u was zbyt jawnych jakichś, a nadzwyczajnych przygotowań: nie wiem i nie chcę się domyslać do czego.

Wehlen, trochę nastraszone, wzięwszy pod rękę, wprowadził go w kąć ciemny.

— Jakto? — spytał — cóż widzicie? czego się domyślacie? mówcie.

— Nie chcę się domyslać nic, a widzę — rzekł

Zaklika — iż przygotowujecie się jakby do jakiegoś salto mortale.

— Nie rozumiem! — podchwycił Wehlen — cóż jest we mnie niezwykajnego? co obudza te podejrzenia? Całą moją winą, że jestem zakochany, że jestem szalony, że ta miłością żyję cały!

— Patrzcie, żeby ta miłość nie doprowadziła was do zapomnienia o tem, że ją ludzie dojrzyć mogą i po niej dojść do kłębka! To, co ja widzę, może drugi zobaczyć... i...

Zmieszał się Wehlen, ale znać było, że już panem siebie nie był. Niecierpliwa Cosel musiała nagle o przyspieszenie ucieczki. Tegoż dnia Zaklika dostał się na wieżę. Hrabina chodziła niespokojna, w ubraniu nieco odmiennem, niż zwykle.

— Zakliko — rzekła — nie mieszaj się do niczego; bądź głuchym. Ze starym komendantem graj jak najdłużej. Jeśliby wypadkiem alarm powstał, staraj się go zatrzymać tylko.

— Jeśliby ucieczka się powiodła — przerwał Zaklika — cóż mam czynić?

— Natychmiast tam się stawić, gdzie ja każe.

Słowa więcej wydobyć nie było można, wskazała mu ręką drzwi.

Ze smutnem przecuciem jakimś Zaklika wyszedł w podwórzec i długo do siebie przyjść nie mógł. Wehlen, którego spotkał, był niespokojny, rozgorączkowany, co chwila spoglądał ku słońcu, które mu zachodzić nie chciało.

Stary komendant, niedomyślający się niczego, skinął na Zaklikę, aby z nim siedł napić się piwa i siaść do gry

w warcaby, która się do nocy przeciągała. Wachmistrz, który zamykał bramy i przynosił klucze, zwykle ich jeszcze zastawał zatopionych w grze na pozór bardzo prostej, a w istocie pochłaniającej człowieka, który się do niej przywiąże.

Wieczór był jasny i piękny, i jak zwykle w dniach pogodnych noc nagle po zachodzie słońca zapadać zaczęła. Zaklika grał tak nieprzytomnie, uchem łapiąc najmniejszy szmer dający się słyszeć na zamku, że komendant, wygrywający ciągle, śmiał się z niego.

— Co ci jest dziś, kapitanie? — pytał.

— Głowa mnie boli.

Po kilku partyach zaczęli rozmowę. Wehlen fajkę nałożył, noc robiła się ciemna; zapalono świece. Henryka, który zwykle w tej porze przychodził, nie było.

— Pewnie mi się wyrwał na miasteczko — odezwał się komendant — bo mu tu nudno, i wolalbym to z lichem — dodał, zniżając głos — niż że mi się pod wieżą modli do tej dumnej pani, której w istocie zdaje się, że jest królową, że ledwie kogo skinieniem pozdrowić raczy.

Zaklika odwrócił rozmowę.

Na zamku cicho było, godzina, o której wachmistrz odnosił klucze, zbliżała się: zapukano do drzwi.

Stary żołnierz, który wyglądał raczej na rozbójnika, najemnik, który pono przeszedł służby wszystkie niemieckie, flandryjskie i holenderskie, nim się oparł w saskiej, zjawił się bladej i z twarzą dziwnie wykrzywioną w prog. Wyraz jej uderzył Zaklikę: był straszny, usta mu się trzęsły.

Komendant, choć go używał, nie lubił; ale że

w ostrzejszym rygorze ludzi trzymał, rozstać się z nim nie mógł. Zwał się Wurm.

— Panie komendancie — odezwał się Wurm — mam mu donieść o ważnym wypadku...

— Cóż? pali się? — porywając się z krzesła, krzyknął Wehlen.

— Nie, ale pański synowiec ucieka w tej chwili z hrabiną Cosel z zamku, ha! ha!

Stary komendant rzucił się, jak szalony, ku drzwiom.

— I! niema się czego obawiać — rozśmiał się dziko Wurm — ja na to dawno czekałem, czatowałem; wiedziałem, że to nie minie i nagroda nie minie.

— Co za kłamstwo bezecne! — zawołał komendant — jak śmiesz...

— Ja spełniam mój obowiązek — zimno rzekł Wurm — w tej chwili żołnierze ich trzymają w ganku za kaplicą i kapitan Henryk, co mnie po pyskach trzepał, gdy zły był, głowę da!

Z wyrazem piekielnej zemsty uśmiechnął się wachmistrz. Komendant drżał, chwytając to za broń, to za klucze i nie wiedząc, co ma począć. Trwoga o los synowca, do którego był przywiązany, do szalu go doprowadzała.

— Kapitanie Zakliko! — zawołał — ratuj mnie, ratuj jego!

— Niema tu co ratować — odparł wachmistrz — jutro całe miasto się dowie i król i dwór, nadto ludzi tę sprawę widziało. O! ja to dobrze urządziłem. Zemściłem się ja, a jak wy na mnie za niego się zemścić zechcecie, no, tom ja i na to gotów.

Mówili jeszcze, gdy hałas w podwórzu od podziemia

wieży o siedmiu wierzchach dał się słyszeć. Żołnierze z wrzawą prowadzili pochwyconych więźniów, hrabinę, która szła przodem niema i blada, i Henryka związane-go, bo pistoletem jedną był sobie zadał ranę i życieby pewnie sobie odebrał, gdyby mu rąk nie skrepowali żołnierze.

Cosel z wściekłą rozpaczą biegła, nie oglądając się, na wieżę. Henryk stał. Stary zbliżył się doń, łamiąc ręce i włosy sobie szarpiąc z głowy. Za nim szedł Zaklika z litością w sercu dla biednego chłopaka, który tak nieopatrnie wpadł w zasadzkę. Nikt się nie oglądał nawet na Wurma, który, szydersko się prześmiewając, tryumfował.

Stary był zmuszony w tej chwili synowca osadzić w więzieniu i z raportem wysłać do Drezna. Napisać go nie mógł stary żołnierz, drżał i lzy ciekły mu z oczu; zawołał zwykle go wyřeczającego pisarza. Ze łkaniem i przekleństwami, ledwie wyjąkane słowa usłyszeć było można. Oskarżał synowca, młody jego wiek stawiać jako powód do politowania, zasługi swoje kładł na szalę; obwiniał sam siebie i ślepotę swą, ale naostatek winę też przypisał i zdrajcy wachmistrzowi, który niepoczciwie, zamiast zapobiedz nieszczęściu, czekał na nie, by z niego korzystać.

Podwojono strażę przy wieży. Noc ta zeszła na czuwaniu i niepokoju.

Komendant wachmistrza też oddał pod areszt. Z papierami wysłano kurjera do Drezna. Wschodzące słońce oświeciło stolpeński zamek smutniejszym niż kiedyś, niemym. Cosel leżała konwulsyami miotana.

Około południa już chmurą spadli z Drezna: wysła-

ny z rozkazami króla generał von Bodt i kilku urzędników.

Na samym wstępie stary Wehlen, nie mówiąc słowa, szpadę oddał, ale mu ją Bodt powrócił. Z rozkazu króla kapitan Henryk von Wehlen i wachmistrz Wurm oddani być mieli pod sąd wojenny.

Nim słońce zaszło, wyrok zapadły na śmierć miał być spełniony. Próżne były prośby i łkania starego komendanta, odwolywania się do łaski i żądania chociażby zwłoki.

Cosel usłyszała strzały i drgnęła: przeczucie mówiło jej, że człowiek, co ją kochał, płacił w tej chwili swą miłość życiem.

Zaklika stał blady, jak trup.

Tegoż dnia Wehlen porzucił służbę, list napisawszy do króla. Wachmistrza w kajdanach zesłano do robót w fortecy Königsteinie.

VIII.

To była pierwsza próba hrabiny Cosel uwolnienia się z narzuconych jej więzów. Płakała po biednym, młodym zapaleńcu, który dał za nią życie, ale zarazem nad sobą. Słudze kazała się dowiedzieć, gdzie pochowano Henryka, i zanieść na jego grób wszystkie ścięte w ogródku kwiaty. Po tym wypadku zmieniło się niemal wszystko w Stolpen. Po Wehlenie komendę objął surowszy od niego, ale mniej zdolny Bierling, człowiek namiętny, gwałtowny, samowolny, dumny, mający wszystkie wady starego żołdaka, któremu się wiodło lepiej, niż zasłużył. Świeży wypadek zrazu niezmierną surowość wywołał. Hrabinie z wieży krokiem ruszać się nie pozwolono, zmieniono dawną straż i Zaklice kazano powrócić do swego pulku.

Korzystając z upojenia komendanta, który co wieczora, po odebraniu kluczy, bezprzytomny padał na łóżko, Zaklika, nim odjechał, poszedł pożegnać panią Cosel.

Znalazł ją nawpół obłąkaną i we łzach, mówić nawet nie mogła.

— Jakto? już i ty mnie opuszczasz? ty? ze strachu? — zawołała z oburzeniem.

— Ja nie z własnej woli stąd idę — odezwał się Zaklika cicho. — Kazano mi wracać do pułku, muszę. Odchodzę dlatego tylko, ażebym lepiej mógł służyć.

— A ja mam tu wieki czekać! — płacząc, wołała Cosel — umierać powoli!

— Rozkazuj pani — dodał Rajmund smutnie — zrobię, co każesz; nie mnie to nie będzie kosztować.

Po chwili namysłu, Cosel wstała z suchemi oczyma.

— Nie, tak jest dobrze, tak musi być — rzekła — idź, myśl sam, co masz czynić: ty to będziesz wiedział lepiej; mnie rozum opuścił, Bóg opuścił, ludzie, wszystko; lecz pamiętaj, jeśli i ty mnie zdradzisz, pomsty na ciebie wołać będę do Boga: przeklnę cię.

Zaledwie chwilę mogła trwać ta rozmowa, która służy zdradzić, usłyszawszy, miałyby sobie za obowiązek; nie było czasu do stracenia: hrabina wskazała Zaklice drzewo w Pillnitz, pod którym sama zagrzebała, wyjeżdżając, w przewidywaniu potrzeby późniejszej szkatułkę małą, kosztowne zawierającą brylanty. Zaklika miał je wydobyć, starać się spieniężyć i sumę ze sprzedaży mieć na potrzeby hrabiny, jeśli się ucieczka powiodła. Zaklika ledwie miał czas wysłuchać rozkazów, gdy szmer na schodach zmusił go do śpiesznej ucieczki.

Przez lat kilka potem wierny sługa nie mógł nic więcej uczynić nad to, iż dawał znaki życia i przez przekupniów oznajmował o sobie. Surowość byłaby może wreszcie ustała, gdyby nie nowy, podobny zupełnie pierwszemu wypadek, powtórzony i równie nieszczęśliwie zakończony, jak pierwszy.

Tym razem hrabina była pewną, iż ucieczka powieść się musi. Nakazała Zaklice czekać na siebie w znacznym miejscu na granicy z końmi i pieniędzmi. Niespokojny kapitan znalazł jakiś pretekst dostania się do Stolpen i widzenia na chwilę z hrabiną.

Zwrócono jej wiele swobody, a tej użyła na zjednanie sobie porucznika Helma, który, tak samo jak Wehlen, rozkochał się do szalu w pięknej zawsze hrabinie.

Ta miłość nieszczęśliwego była może poetyczniejszą, niż pierwsza, gwałtowniejszą i więcej wypróbowaną. Trwała ona lat dwa, nim hrabina, poznawszy człowieka, wywieźdawszy się o całym planie jego, zbadawszy charakter, przystała na to, aby raz jeszcze próbować szczęścia.

Porucznik Helm, oprócz wdzięku pani Cosel, był ujęty umysłem jej, wymową, poetycznością, gdyż w tym czasie zatopiona w biblii, zaczytana w prorokach, rozmiłowana w księdze świętej Starego Zakonu, Cosel stała się niby natchnioną wieszczką i prorokinią. Mowa jej, strój, ruchy, spojrzenie zdradzały stan umysłu niezwyčajny, któremu towarzyszyło takie zaufanie w siebie, taka wiara głęboka i powaga niezachwiana, iż ją to czyniło zjawiskiem, mogącym nie słabego człowieka jeźdnego, ale tłumy za sobą pociągnąć.

Już ci, co ją słyszeli dawniej mówiącą o swem nieszczęściu, na łagodnym w Pillnitz wygnaniu, zachwycali się jej wymową z uczucia płynącą, urokiem słowa, tragicznością postaci. Późniejsze nieszczęścia w dziesięć kroć powiększyły wrażenie, jakie wywierała na ludzi. Zaklika zdziwił się, ujrzawszy ją tak wielką: nadzwyczajnie.

czajną znalazł w niej zmianę. Była to ta sama piękność, ale z surowszym wyrazem twarzy, na której cierpienie wyrzyło swe piętno, nie śmiejąc dotknąć rysów, ani ująć wdzięku. Żywość ruchów ustąpiła teraz powadze, słowa nabrały jakiegoś namaszczenia, jakby z tajemniczego jakiegoś źródła płynęły. Wydawała się kapłanką jakąś i Pythonissą. Zaklika zastał ją z ołówkiem, zatopioną w biblii. Zmierzyła go oczyma i podała rękę do pocałowania. Staremu słudze łzy zakręciły się w oczach.

— Widzisz — rzekła — żyję, Bóg mi przedłużył dni wątku, a nie uczynił tego nadaremnie. Wiem, że tych wszystkich przeżyję, co mnie prześladowali, i że im kiedyś przebaczę. Bóg mi życie przedłużył, aby mi oczy otworzyć na wielkie prawdy dla innych zakryte. Ja muszę być jeszcze wolną, mam wielkie do spełnienia rzeczy.

— A! pani — przerwał nieśmiało Zaklika — czyliż się nie obawiasz, by znowu...

— Ja się nie obawiałem nigdy i nie obawiam niczego — rzekła spokojnie. — Ten człowiek jest moim, władam nim, zrobi, co mu powiem, a ja mam teraz jasno-widzenie środków i dróg. On mnie nie zdradzi i los mnie nie zdradzi!

Rajmund zamilkł. Umówiono dzień i miejsce na granicy. Nie śmiał wypytywać ani o środki, ani o plan; drżał w duchu, lękał się o swoją panią, przewidywał, że to może los jej pogorszyć.

Odprawiła go skinieniem monarchini, z zupełnym spokojem ducha. Helm, którego widział krótko, wydał mu się tak zapalonym, tak rozmarzonym, jak biedny Henryk, który padł ofiarą młodych swych marzeń. Posłu-

szny rozkazom Zaklika, wzięwszy urlop, gdyż służby wojskowej nie rzucił, znajdując w niej pewne zabezpieczenie, z końmi i Wendem, którego najał, stanął zawczasu na granicy.

W nocy tegoż dnia Cosel przybyć tu miała. Z niecierpliwością niewypowiedzianą Zaklika stanął na straży; w ciszy niczem nieprzerwanej upłynęła noc. Nadszedł brzask... on czekał napróżno. Cały dzień następujący zszedł na czatach i noc jeszcze następna, i trzecia. Nikt nie przybył, nie było wieści. Czwartego dnia kupcy, jadący od Stolpen, w gospodzie rozpowiedzieli, że zamknięta w twierdzy hrabina, już po wysłiznięciu się z zamku, wraz z oficerem, który jej ucieczkę ułatwił, pochwycona została.

Tyle tylko mógł się dowiedzieć o niej i natychmiast powrócił na kwaterę, aby wiadomość mieć o wypadku i wskazówkę tego, co mu czynić wypadało.

Niestety, opowiadanie było prawdziwe. Zaklika pojechał na miejsce do Stolpen. Nie potrzebował iść do zamku, w całym miasteczku nie mówiono o niczem innym. Helm przez rok cały pracował nad wygrzebaniem pod murami wazkiego przejścia, które wprost wiodło za twierdzę od strony, gdzie nawet straż nie chodziły. Tu, choć urwisko strome było, zniżyć z niego wyuczył się. Otwór zręcznie zasłonięty był zewnątrz lekko ułożonymi kamieniami. Podpojone strażę, niebytność komendanta, wszystko się zdawało zapewniać powodzenie ucieczce. W ciemną noc dżdżystą hrabina, po męsku ubrana, wysunęła się z wieży niepostrzeżona; Helm czekał na nią w trzecim podwórzu, z którego otwór miał ich na wolność wyprowadzić. Wszystko się tu powiodło szczęśliwie, ka-

mienie. po cichu odjęte zostały, hrabina pierwsza wysunęła się z gruzów, Helm siedł za nią. Pomimo ciemności i kilkakrotnego upadku, oboje się spuścili wzdłuż baltowych słupów do podnóża. Na gościńcu, nieopodal, czekać miały konie wierzchowe. Nim do nich doszli, na zamku uderzono na alarm.

Sluga, która weszła wypadkiem do sypialni pani Cosel, lękając się o swą panią, bo ją przez cały dzień jakby rozgorączkowaną widziała, zobaczywszy okno otwarte tylko i łóżko puste, sądząc, że mogła się w przystępie szału rzucić z piętra na skały, narobiła krzyku. Co żyło, zerwało się: komendant, żołnierze, pospólstwo w miasteczku.

W obszukiwaniu po zamku dostrzeżono otwór pod murem... Puściła się pogoń w tej chwili. Człowiek, który z końmi miał czekać, powrócił z nimi co rychlej do miasteczka.

Cosel i Helm, nie wiedząc, gdzie się schronić, za radą jej puścili się polami ku blizkim zaroślom, sądząc, że tam ukryć się potrafią; ale komendant, któremu szło o głowę, bo wiedział, że straciłby ją pewnie, gdyby mu ten więzień wymknąć się potrafił, spędził całą ludność, zapalono pochodnie, konnych wysłano na drożyny i miedze, i nim się na brzask zebrało, odkryto zbiegów. Hrabina i Helm mieli pistolety, raniono żołnierza w obrobie; lecz na strzał wnet nadbiegli inni i, pomimo oporu, wzięto znowu więźniów.

Tak samo, jak pierwszym razem, oficera oddano pod sąd wojenny.

Helm miał jednak krewnych i powinowatych u dworu, udano się do króla i do świetnej naówczas gwiazdy,

do hrabiny Orzelskiej, o opiekę i łaskę; nie to nie pomogło.

Skazany na rozstrzelanie, Helm zawieszony został do Dreżna, gdzie wszelkie tego rodzaju egzekucye odbywały się na Nowym Rynku, naprzeciw głównego odwachu.

Nowy Rynek sławny był z takich krwawych widowisków, na których nigdy nie brakowało ciżby, a nawet pięknych pań, przypatrujących się z ciekawością łamaniu kołem, ścinaniu i wieszaniu. Tym razem młodego wojskowego tylko rozstrzelać miano, a mimo to ciekawych było wiele, gdyż historya młodzieńca, szalenie rozkochanego w Cosel, który, jak opowiadano, w więzieniu kardę jej całował, rażno gotując się na śmierć dla swego ideału, zajmowała żywo szczególnie kobiety.

Około południa uderzono w bębny, wyszedł oddział wojska, wyprowadzono Helma. Oczy wszystkich skierowane były na pięknego złotowłosego młodzieńca, który nie stracił fantazyi, idąc na śmierć. Z zamkowego skrzydła nawet widać było wyglądające głowy pań ślicznie ufryzowanych. Kilka powozów z liberyą wspaniała ustawiło się tak, aby ostatni akt dramatu życia ludzkiego dobrze z nich widzieć było można.

Helma, który prosił, aby mu oczu nie zawiązywano, postawiono przy murze; odkomenderowani żołnierze nabili broń, oficer, który miał dać znak do strzału, stanął... ofiara już była gotowa, gdy od zamku konno nadbiegł wojskowy, adjutant króla, z przebaczeniem.

Nie znalazby ludzi, ktoby sądził, że akt ten łaski powszechną wzbudził radość: wielu znalazło się zawiedzionych, przybyli bowiem na krwawe widowisko, a ode

szli z niczem i nie mieli co opowiadać w domu. Helma nazad wprowadzono do koszar. Powozy rozjechały się w różne strony, ciżba rozplynęła się zwolna po ulicach.

Na zamku w Stolpen, oprócz podwojonych znowu straży i przedsięwziętych środków ostrożności, nie się nie zmieniło. Przysłano dowódcę nowego, obwarowano niektóre furty i słabsze mury, nie tknięto jednak hrabiny, ani ścieśniono tej małej części swobody, jaka jej była dana.

Cosel pokutowała dosyć w sumieniu swem, sądząc i będąc pewną niemal, że druga już ofiara padnie nadaremnie i cieniem swym prześladować ją będzie. Nierychło bowiem doszła tu wiadomość, iż Helmowi król raczył przebaczyć.

Nikt nie wiedział, jaki los mu był zgotowany.

Zaklika, powróciwszy na dawną swą kwaterę, jakiś czas pozostał na niej, nie ruszając się nigdzie, aby podejrzeń nie obudzać.

Czuł on, że teraz kolej przyszła na niego, i mężnie się gotował do tego, co za swój obowiązek liczył.

Ale dojrzałszy od tych, co go poprzedzili, ich doświadczeniem nauczony, chciał być pewien, iż ostatnia próba ucieczki się powiedzie. Nie zrażało go to wcale, iż Wehlen życiem a Helm przypłacił całą przyszłością swą — szlachetną chęć ratowania uciśnionej, niemal oszalałej niewolą kobiety.

Przez czas pobytu w Stolpen i okolicy kapitan miał sposobność rozpoznać tak zamek, wszystkie jego stare budowy, podziemia, chody, lochy, nawet innym niedobrze znane, iż mógł tu lepiej niż ktokolwiek gospodarzyć. Zastanawiał się tylko nad tem, czy zręczniejsi mu będzie

jako wojskowemu w zamku ucieczkę przygotować, lub, uwolniwszy się od służby, osiąść czasowo w miasteczku i zwolna się przysposobić do uwolnienia hrabiny.

Po głośnym wypadku z Helmem jakiś czas wypadało nie dawać znaku życia, ażeby nie ściągnąć podejrzeń na siebie. Zaklika więc dał tylko przez zwykłego posłańca znać, iż żyje i przybędzie, a sam czekał uspokojenia.

Kilka tak upłynęło miesięcy.

W załodze na Stolpach miał towarzyszków wojskowych znajomych sobie dobrze, pojechał ich odwiedzić.

Miedzy innymi był tam i przyjaciel jego, niejaki von Kaschau, dobra dusza, ale hulaka niepomierne, z którym zawsze o Polsce mawiali, bo w niej kilka wypraw odbył i języka się był nawet poduczył.

Pod pozorem więc Kaschaua pojechał Zaklika na zamek. Stary żołnierz nudził się strasznie, więc ledwie go nie zdusił w uściskach, zobaczywszy u bramy, i natychmiast z sobą do komendanta poprowadził, aby mu tu wolny pobyt wyrobić.

Komendant, który miał rany na nogach i ciągle prawie chory leżał, Kaschauem się wyręczał i, byle mu spokój dano, zezwalał na wszystko. Dwaj więc przyjaciele poszli do mieszkania Kaschaua na gawędę przy kuflu piwa.

O czemże się miała wszczać rozmowa, jeśli nie o niewolnicy, z której przyczyny ciągle czuwać musiano.

— E! — rzekł stary żołnierz — nie chcę ja sądzić, co drudzy robią, a zwłaszcza król jegomość, pan nasz miłościwy, ale co do mnie, nie rozumiem tej srogości nad kobietą i tej obawy! Co ona dziś komu uczynić

może? Tyle chyba, że jeszcze się kto, jak ów Helm, zakocha, bo zawsze piękna i piękna. Nie jej zmienić nie mogło, ani więzienie, ani lzy i męczarnie.

— A gdybyście ją byli widzieli w blasku jej chwały, jak ja, gdy przy dworze był — rzekł Zaklika — dopiero byście poznali niebezpieczeństwo. Myślicie, że król lęka się jej pistoletów? a! nie, obawia się oczu jej i władzy, jaką miała nad nim, bo wie, że, gdyby godzinę z nim mówić mogła, u nóg jej leżałby, prosząc o przebaczenie.

Kaschau się rozśmiał.

— Tak, a wyszedłszy, położyłby się u nóg panny Dieskau albo Osterhausen: stary, z pozwoleniem, balamut!

— Radbym też ją zobaczyć — odezwał się Zaklika — bo to zawsze ciekawa rzecz taką kobietę widzieć, a godną jest politowania.

— Któż ci broni? we dnie jej nie wykradniesz — rzekł Kaschau — idź się pokłoń dawnemu bóstwu.

Otrzymawszy to pozwolenie, Zaklika poszedł na wieżę świętego Jana.

Na drugim piętrze był pokój Anny Cosel; gdy zapukał, długo nie otrzymał znaku życia i odpowiedzi. Uchylił drzwi z bojaźnią i widok, którego w życiu swem nigdy zapomnieć nie mógł, przedstawił się oczom jego.

W pośrodku izby był stół, zarzucony książkami i papierami. Cosel, ręką jedną na nim wsparta, druga trzymając na ustach, stała nad rozwartą ogromną biblią... i dumiała. Ubrana była tak niezwykajnym smakiem, iż Zaklika uląkł się, czy przytomną była. Miała na sobie suknie szerokie czarne, z rękawami długimi, pas, na któ-

rym stały kabalistyczne znaki, a na czarnych włosach po wschodniemu zawiązaną chustkę, w którą wpleciony był zwitek pergaminu, zapisany także głoskami hebrajskimi.

Piękną była w istocie, lecz niepodobną do owej Cosel, która przyjmowała króla duńskiego w stroju brylantami osypanym. Surowsze zdawały się jej rysy, czoło zmarszczone, a małe usta nabrały wyrazu zadumy i jakby pieczęcią milczenia stały zamknięte.

Już Zaklika wszedł i stał w progu, a ona, słysząc kroki, nie oderwała oczu od książki, ciągle nieruchoma, z wzrokiem wlepionym w karty, jak posąg trwając w osłupieniu.

I nierychło oczy zwróciła; jakby wypadkiem zatrzymały się one na Zaklice, ręką od ust się oderwała, zdumienie odmalowało w twarzy.

— Duchem jesteś, czy żywą istotą? — zapytała.

— Wierny sługa, przychodzę po rozkazy — rzekł Zaklika.

— Są więc jeszcze słudzy wierni, i ja, niewolnica, mogę jeszcze rozkazywać komu?

— Mnie — odpowiedział Zaklika — dopóki żyję.

— Jakżeś się tu dostał? tu już nikogo nie wpuszczają?

Zaklika na mundur swój ukazał.

— Po tamtych kolej na mnie — odezwał się — ja postaram się być rozumniejszym, a może będę szczęśliwszym.

Cosel uśmiechnęła się boleśnie.

— O! nie — odpowiedziała — wszystko w życiu

ludzkiem jest z góry napisane, przeznaczone, nieodmienne, nikt się ze swych wyroków nie wyłamie.

— A dlaczegoż nie miałoby być wyrokiem moim, że ja hrabinie zwrócę swobodę?

Potrząsała głową.

— Dlatego, że ja w inny sposób będę wolna — rzekła. — Dawniej ciemną byłam, teraz widzę jasno we własnem przeznaczeniu, czytam je w tej księdze. Łaski niema na świecie, jest tylko konieczność, żelazna, niezłamana, nieuchronna; trzeba się jej poddać, ją badać i uczyć się jej: w jednym Starym Zakonie mądrość cała.

Niespodziany ten zwrot rozmowy zamknął usta Zaklice: nie wiedział, co mówić dalej.

— Zostaniesz tu? — zapytała Cosel.

— Sam nie wiem, mam-li zostać? powiedz pani! jam na wszystko gotów...

Cosel szybko kilka kart w księdze przewróciła.

— Trzeba się wyroczni poradzić — rzekła — czekaj: nie tak!

Zamknęła klamry księgi, podniosła oczy do góry i poczęła szeptać jakby modlitwę; potem rozwarła biblię nagle, spojrzała na prawą stronę jej: oczy padły na księgi Jozuego, rozdział dziesiąty, i głośno czytać poczęła:

„I znowu rzekł im: Nie lękajcie się, ani się trwóćcie, ukrzepcie się i bądźcie mocnymi: tak albowiem uczyni Pan wszystkim nieprzyjaciółom waszym, przeciwko którym walczyście...”

Zamyśliła się.

— Tak, rozumiem — poczęła po chwili — mocna

będę z tobą, ale nie poczynać nie trzeba, a czekać głosu bożego. Ale jakże ty tu możesz pozostać?

Zaklika, którego ta biblii wyrocznia zmieszała, nieruchło zebrał się na słowo.

— Starać się będę o to, gdy potrzeba — rzekł — w ten lub inny sposób, dostanę się na zamek lub do miasteczka. Nikt mi tu mieszkać nie wzbroni! Ale mamże pozostać w służbie i wojsku, czy rzucić?

— Zrzucić tę liberyę ohydą, ten kaftan niewoli Amalecytów — przerwała żywo Cosel. — Niewierni są: poganie, bałwochwalcy, gwiazdokłonce.

Znowu zamilkł Rajmund.

— Potrzeba mi niewielkiego czasu — rzekł ciszej po chwili — ażeby dostać uwolnienie, sprzedać szarżę, zebrać, co mam, i przybyć do Stolpen. Kaschau, który tu jest z załogą, przyjaciel mój stary; mam dobry pozór, ani mi innego potrzeba.

— Kaschau? — spytała Cosel — jak inni niewolnicy, sługa nieprawości, oprawca.

Zamknęła biblię i zaczęła się przechadzać po pokoju.

— Wracaj więc — rzekła — ani się lękaj o mnie; ja wiem, że z przeznaczeniem walczyć nie powinna, ani ciebie do walki z niem szalonej będę wyzywać. Aleś ty jeden człowiek, który mi służysz wiernie. Twoje przeznaczenie Bóg w nagrodę lub za karę splótł z mojem, musisz cierpieć razem, a w chwili tryumfu pójdziesz za mną się nim napawać.

Z tego nastroju trudno było rozmowę sprowadzić. Cosel, jakby przejęta czytaniem biblii, zapominała o tem, co ją otaczało. Zaklika, postawszy u drzwi i oznajmując, że jeszcze przyjdzie po rozkazy, wyszedł smutny.

W dziedzińcu u studni czekał nań Kaschau.

— Cóż z nią mówił? — zapytał.

— Stałem u drzwi napróżno i rozmówić się nie mogłem — szepnęła Zaklika — zastałem ją nad biblią; czekałem dosyć długo; nie mogła przerwać czy modlitwy, czy zadumy; przyjdę raz jeszcze.

— Wątpię, żebyś szczęśliwiej trafił — dodał Kaschau — ona w księgach świętych szuka pociechy teraz, a raczej rozrywki. To i lepiej. A jakżeście ją znaleźli? zmieniona?

— Zapewne — odparł Zaklika, nie chcąc się z tem wydać, że ją później widywał — jakże nie ma nią być? Cosel-królowa musi być odmienną w pamięci od Cosel-niewolnicy, a jednak panią ona i dzisiaj.

Tak dzień skończyli, chodząc po wałach i dokoła murów, a rozmawiając z Kaschauem o Krakowie, w którym po dwakroć był przy królu, i o wojnie. Gdy bramy zamykać miano, pożegnawszy przyjaciela do jutra, Zaklika wyszedł do gospody w rynku, by tam przenocować. Usłużny gospodarz Niemiec, widząc wojskowego, nadszakał mu wielce i chciał bawić opowiadaniem, lecz kapitan pożegnał go wkrótce. Nazajutrz, gdy otwarto bramy, wrócił do Kaschaua, który go ze śniadaniem czekał.

Cosel była w ogródku przy kwiatkach, skinęła na przechodzącego. Tego dnia ubiór jej był zwyczajny i mowa nawet odmienną. Weselszy promień igrał na czole.

— Patrz — rzekła — to są teraz moje dzieci. Moje własne mi wydarto! Co za okrucieństwo! matce odebrać jej własność! W godzinach długich niewoli myśla

tylko odgaduje, jak porosły? Nie poznałabym ich pewnie, a oneby się ode mnie odwróciły z przerażeniem. Prosiłam, by mi je choć widzieć dano! Niestety! dzieci to króla, nie moje! Powiedziano mi, że ich widzieć i znać nie będę! I jest istot troje, tak moich, jak tylko dzieci matce być mogą, których te oczy nie zobaczą i te ręce nie uścisną! Czujesz ty to? rozumiesz... jak się serce pękać musi?... Gdyby mi je Bóg zabrał, szukałabym ich na łonie Ojca niebieskiego; ziemski ojciec ich, wróg mój, stoi między mną a niemi. Litościwszy Bóg dał kwiatki, te mi się śmieją za dzieci. A gdybym im mogła posłać choć po kwiatku. Nie, odrzuciłyby ich ze wstrętem! One się matki lękać będą, im powiedzą, że nie żywa, lub gorzej niż umarła, obłąkana, szalona...

Zaklice się lży w oczach kręciły.

Rzadko wspominała Cosel o swych dzieciach, jak gdyby się wspomnienia ich lękała. Domówiwszy tych słów, zamilkła.

— Idź — rzekła — idź i powracaj. Radziłam się losów biblijnych i wyroczni liczb: powrócić powinienś i dotrwać tu.

Skinęła jeszcze głową i ręką, ruchem królowej pożegnała Zaklikę.

Nie miał więc już tu co robić dłużej. Dla niepoznaki zabawił z Kaschauem godzinę i, pod pozorem służby, przed południem go pożegnał. Przechodząc podwórze, już nie zobaczył Cosel przy kwiatkach, stała w górnym oknie, ubrana jak wczoraj, z książką w rękę, zadumana, rozmarzona. Nie rzuciła nawet okiem na niego, tak cała była w sobie i czytaniu zamknięta.

Nie pytając, jakie go tu losy czekać miały, Zakli-

ka, posłuszny, wróciwszy na kwaterę w Oszaciu, zajął się uwolnieniem ze służby. Łatwo mu przyszło pozbyć się munduru i stopnia. Zabrał, co miał, i pewnego dnia smutnej jesieni zajechał na gospodę do Stolpen, oświadczając gospodarzowi, iż tu, na ustroniu, myśli zamieszkać.

Trafiał się dworek do nabycia tanio, i kapitan kupił sobie chatę z ogrodem, w której za miesiąc już wraz z Kaschauem gospodarował.

IX.

W roku 1727, w trzy lata po nieszczęśliwej z Helmem ucieczce, Stolpen, zamek i miasto, już znowu zapomniawszy o tem, co przeżyły, dawnym spokojnym trybem wiejskiego żywota, jednostajnego i cichego, węgiewały jakby wśród pustyni.

Na świecie, na dworze, przy królu wiele się zmieniło rzeczy. Hrabina Cosel była prawie pomszczoną, nie wiedząc o tem, ani się starając o to. Do jej smutnego schronienia jedna za drugą dochodziły wieści żałobne, nieprzyjaciele jej znikali z tego pola lub ze świata.

Nowi ludzie, twarze, kobiety i faworyci wyrastali na ich miejscu.

Wśród tych ruin jeden tylko August Mocny stał, zawsze wspaniale rzucając złotem, szukając zabawy, a znaleźć jej nie mogąc.

Piękna Marynia Denhoffowa, może lękając się losu Cosel, napróżno usiłując króla przywiązać do siebie, w ostatku bezpieczniuszem sądziła pójść za męża. Król się temu nie sprzeciwiał wcale. Bawił się najweselej zawsze

na lipskich jarmarkach i przekładał znajomości krótkotrwale nad więzy, coby dłużej kępować go mogły. Tak cudnej piękności, ale milcząca i jak posąg bez życia, Erdmuta Zofia Dieskau, córka tajnego radcy Dieskau z Czeplina, zachwyciła go na chwilę i wydał ją król prędko za mąż za nadwornego swego marszałka von Lossa, znajdując, że jak bryła ze śniegu zimną była. Tak potem zakochał się August w Henryecie Osterhausen, której bierne posłuszeństwo go znużyło, a synowa wygnana ją do klasztoru, skąd później Stanisławski żoną ją wywiózł do Polski.

Po tych wszystkich przemijających zapalach nastąpiło panowanie Anny Orzelskiej, córki Henryetty Duval, dawne świetności przypominające.

Anusia Orzelska w huzarskim mundurze złotem sztytym, z orderem Orła białego, jeździła z królem na mustry wojsk i polowania. Król przy niej odkwitał młodością. Nowe pokolenia zjawiały się na dworze. Hrabia Rutowski jaśniał obok siostry swojej, starzy faworyci do grobu się kładli. Fürstemberg, który swym zakładem z Hoymem sprowadził hrabinę na dwór drezdeński, a później stał się jej najzjadlejszym prześladowcą, nie żył oddawna, z wielkich łask pana zwolna schodził w zapomnienie. Towarzysze jego, ministrowie pierwsi, przeczując, co go czekało, wyparli ze swej rady, odejmując mu wszelki czynny udział w państwa sprawach: król odwracał się od niego. Nie pozostawało mu jak z alchemią, bigoteryą i myśliwstwem siedzieć w lasach w Wernsdorfie i na łowach rozmyślać o niestałości łaski pańskiej.

Ten, co, namiestnikiem będąc, wszystkich z góry wiódł

i przez panią Reuss całemu dworowi chciał panować, a nawet samemu panu, zszedł do zupełnej nicości. Po śmierci żony marzył jeszcze o kardynalskim kapeluszu i, wybierając się na jarmark do Lipska, pojechał na świat lepszy... tak cicho, iż król, który właśnie jarmarkował, nierychło się o zgonie dawnego faworyta dowiedział. Był to gorzej niż upadek głośny, było to przeżycie siebie samego.

Nawet hrabinę Reuss wprzód mu kuzyn Lützelburg odebrał. Wpływ tego kółka, w którym Hülchenówna, Reussowa, pani Reichenbach, jej siostra i panie Schellendorf i Callenberg królowały, znikł zupełnie. Rozpierzchło się to i powymierało.

Vitzthum nie żył także od roku, a kilka lat wprzód oddalony od króla, przebył w Szwecyi; za niego i za siebie czynna niezmordowanie była żona, owa siostra Hoyma, którąśmy widzieli dopomagającą Annie Cosel do łask królewskich, a wprędce pracującą nad jej straceniem. O ile sam Vitzthum był nieznaczącym, o tyle ona, pani Rachela, jak ją zwano, pracowała za dwoje, a przybrawszy sobie z nicości wyciągniętego Watzdorfa, twarz w twarz stawiała do boju nawet z Flemmingiem. Nienawiść jej ku feldmarszałkowi zrodziła się z niechęci i kobiecej intrygi przeciw pani Przebendowskiej, którą Sasi, dla ułatwienia sobie, zwali panią Brebentau. W czasie poselstwa męża w Szwecyi Vitzthumowa pałac mu budowała na rogu Kreuzgasse, który później Rutowskiemu dostał się. Vitzthumowa uchodziła za najbogatszą panią w Saksonii, a wszystko, co miała, zebrała sama.

Vitzthum skończył tragicznie.

Na rok przedtem, będąc w Warszawie z królem,

przy którym szambelanem i adjutantem znajdował się naówczas niejaki markiz de St. Gilles, pono nieprzyznany syn sardyńskiego króla Wiktora Amadeusza, a wedle zwyczaju swojego grając dni i noce, poważnił się z nim u kart w królewskim przedpokoju. Vitzthum miał lat pięćdziesiąt kilka, St. Gilles dwadzieścia i parę. Gra była gruba, zapalczywy młody przegrywał; zaczął przeciwnikowi przymawiać: od słowa do słowa przyszło do lajań i razów. Hałas się stał, król się dowiedział, faworytowi starszemu dał naturalnie słuszość, zgromił Włocha i skazał go za obejście się grubiańskie na trzymiesięczne w lipskiej twierdzy więzienie. Była to kara i łaska, gdyż komendantem w Lipsku podówczas był hrabia Castelli, wuj markiza. Zakazano mu się jednak na przyszołość pokazywać u dworu.

St. Gilles, odsiedziawszy trzymiesięczne więzienie, zbiegł tajemnie do Polski i, dostawszy się do Nadarżyna, posłał Vitzthumowi wyzwanie. Nie mógł on go nie przyjąć, nakazał wszystkim jak najsurowiej milczenie, aby się król nie dowiedział, i nazajutrz dnia 13 kwietnia 1726 roku przybyć obiecał.

Wieczorem Vitzthum u córki (księżny Lubomirskiej) był na kolacyi, bawił się jak najweselej i do północy grał w pikietę. We dwie godziny potem jechał potajemnie do Nadarżyna, wzięwszy z sobą jednego tylko sekundanta, hrabiego Montmorency.

Zrana, między piątą a szóstą, stanął na miejscu, posłał do markiza z oznajmieniem oficera Freneuse i że naówczas obyczajem było z konia się strzelać, siadł na koń. Zapaśnicy wyjechali przeciw sobie z wielkiem męstwem, powoli, a zbliżywszy się na strzał, markiz strze-

lił i ugodził Vitzthuma tak śmiertelnie, iż trupem się z konia zwałił. W tejże samej chwili strzelił Vitzthum także, ale kula jego drasnęła tylko policzek markiza i perukę. St. Gilles, nie wiedząc co począć z sobą, uciekł do Warszawy i szukał schronienia w klasztorze Teatynów. Król, rozżalony, nakazał, nie zważając na prawo schronienia, marszałkowi St. Gillesa odebrać z klasztoru. Klasztor otoczyło półtorasta żołnierza, w tej samej chwili St. Gilles, za laika przebrany, umknął na Berlin i Lipsk do Włoch.

Ciało zabitego, we wszystkie dzwony na cześć mu bijąc po drodze, wywieziono do rodzinnych grobów.

Taki był koniec pierwszego faworyta.

Flemming trzymał się jeszcze, on jeden umiał się stać potrzebnym i obronić od losu, który spotkał innych jego współzawodników. Budował naówczas pałace, sprzedawał, handlował dobrami i złoto na beczki mierzył. Pozbывszy się Schulenburga, odradziwszy królowi oddanie dowództwa wojsk genialnemu synowi Maurycemu Saskiemu, marzył Flemming o księstwie Kurlandzkim dla siebie, a o ożenieniu pięćdziesiętosiemioletniego Augusta z siedmnastoletnią księżniczką pruską, która przymierze między Saksonią, Polską (na dziedziczną przerobioną i rozdzieloną) a Prusami umocnić miała. I, gdyby August II zgodził się być na to małżeństwo, przyszedłoby by do skutku.

Niecy Löwendahl, który hrabinie Cosel winien był wyniesienie swoje, trzymał się jeszcze, ale z każdym dniem tracąc sławę i znaczenie i walcząc z silniejszym stokroć od siebie Flemmingiem, trwoniąc łatwo zdobyte mienie, pędził ku widocznej już ruinie.

Watzdorf nareszcie, ów „chłop z Mansfeldu“, przetrzucając się na różne strony u dworu, dostarczając pieniędzy, frymarcząc z Flemmingiem, nie rzucał klamki dworskiej, choć król na niego patrzeć nie mógł, ale go potrzebował.

Na dworze króla ten sam panował szal zabaw i potrzeba nienasyconą rozrywek. Przybycie Orzelskiej pobudziło do nowych wystąpień, tak jak przed kilku laty ożenienie syna odznaczyło się bajecznym zbytkiem i przepychem.

Wśród tych najróżnorodniejszych roztargnień, które królewska fantazyja sama sobie dostarczała, przychodziły chwile, w których August miał się za wielkiego wojownika i wojskowych ląkał popisów.

W tym roku król wiosny pięknej w Pillnitz zażywał, wojsko stało obozem, strzelano z dział i próbowano półkartaunów siły. Hrabia Wackerbarth towarzyszył Augustowi. Mówiono o twierdzy Königsteinie i o czynionych próbach na skałach, na których się ona wznosiła. Półkartauny w proch rozsypywały kamienną podstawę twierdzy.

— A jednak — rzekł Wackerbarth — znam miejsce i kamienie, którychby one nie wzięły: za to ręczę.

— Gdzie? — zapytał August.

Wackerbarth spojrział na króla, zdawał się zafrasowany tem, że mu się to słowo wyrwało, i milczał.

— Gdzie? — powtórzył król.

— W Stolpen, na bazaltach tamtejszych, które są jak żelazo twarde, kule nie mogą.

— Stolpen! — zawołał August i twarz mu się okryła chmurą — a, w Stolpen!

Była chwila milczenia, król się przechadzał niespokojnie, znać było, iż go jakaś fantazyja dręczyła, której zadość czynić nie chciał, czy nie mógł.

— W Stolpen! — powtarzał kilka razy. — Można by kartaunów na skałach tamtych spróbować.

Wackerbarth spojrział trwożliwie na króla, który, jakby ubodnięty tem wejrzeniem, zawołał:

— Dlaczego nie mamy kul na bazaltach spróbować? przecież zamku nie obalimy? a kilka strzałów...

Wackerbarth zmilczał, jakby czekając rozkazów i nie dowierzając im. August widocznie oziębłością jego był dotknięty i chciał się wyższym nad pewne względy dziecinne, które mu ktoś mógł przypisywać, okazać.

— Poślij waćpan do Stolpen — odezwał się — dwa działa, każ mi przygotować baterie naprzeciw tych słupów: będę sam jutro rano próbie przytomny. Tak, zrana — dodał — póki gorąco nie przyjdzie, bo dni już bywają skwarne.

Odwrócił się od niego i poszedł.

Rozkaz króla spełniał się zawsze, mimo wszelkich przeszkód możliwych, w mgnieniu oka. Na całą noc wysłano rozkazy i działa do Stolpen. Zaklika spał w swym dworku samotnym, gdy o północy rozruch niezwykły stał się w miasteczku. Konni, wozy, wojskowi z głośnymi krzykami wjeżdżali z pośpiechem wielkim i zuchwałością żołdacką. Kapitan wychylił z okna głowę, nie mogąc pojąć, co się stało, i sądząc, że jaki nieznany nieprzyjaciel wtargnął w Saksonii granice. Z języka jednak poznał Sasów, którzy swem Herr Jeses! powta-

rzanem nieustannie, zdradzali się łatwo. Zobaczywszy oficera, kapitan ośmielił się go po koleżeńsku zapytać—co się stało? i skąd pośpiech był tak wielki?

— Król! najjaśniejszy pan! — krzyknął oficer, pędząc ludzi — król przybywa jutro, to jest dziś rano tu będzie.

— Król? w Stolpen?

— Tak jest, i, jeśli macie ludzi, ślijcie ich z łopatami, trzeba na prędce usypać baterie do rana. Będą strzelać do słupów i próbować kul siły.

— Gdzie? — krzyknął zdumiony Zaklika.

— A! gdzie! tu na górę zamkową! — śmiejąc się, powtórzył oficer — czyż mnie nie rozumiecie?

Rozmowa się przerwała. Zaklika pochwycił się co najprędzej odziewać. Uszom swym nie mógł dać wiary! Król, król strzelający do zamku, w którym więził tę nieszczęśliwą ofiarę od lat tylu, jakby na urągawisko. Rzecz była nie do uwierzenia, nie do pojęcia. Król w Stolpen!

Jaka chwila do przebycia dla hrabiny! Włosy powstały mu na głowie; omackiem począł chwytać odzież, ubierać się bezprzytomnie, machinalnie. Chciał biedz, oznajmić jej o tem, przygotować ją, nakłonić do przeżycia tej próby, na którą miała być wystawiona.

Zaklika miał łatwy wstęp do zamku, zdawało mu się, że w tym zamęcie powszechnym wciśnie się i na coś przecie przydać może. Los Cosel ścisnął mu serce, łzy dobywały się z oczu.

— Król! król! — powtarzał machinalnie — a! to nie może być! W ostatniej chwili zawstydy się, zabo-

leje, nie przyjedzie. To nie może być. Co się z nią stanie?

Szarzało na dworze, gdy, zamykając swój dworek, Zaklika wybiegł jak oszalały, pędząc pod zamek.

Na zamku wszystko było rozbudzone; wiadomość, że król przybywa, jak piorunem odpoczywających żołnierzy i starszyznę poruszyła. Z miasta, z wiosek sąsiednich żołnierze gnali płazami ludność z chat powypędzaną do sypania baterii na prędce. Płacz, krzyki i głośno wydawane rozkazy rozlegały się dokoła; konni krzyżowali się na drogach; wszyscy potracili głowy.

Jedną baterię już sypać zaczęto w zwierzyńcu przy tak zwanej Röhrpforte, drugą na Hanewaldzie, w ogródku skarbowym (Amts-Frohns-Gärtchen).

Gdy Zaklika do bram przypadł narozcież otwartych, w zamku wszystko było na nogach. Czyszczono, zamiatano, znoszono gruz; komendant chrypl od wołania, oficerowie nie wiedzieli od czego poczynąć. Około wieży świętego Jana cała służba żeńska i męska hrabiny Cosel stała w najdziwniej ponarzucanych ubraniach, tak, jak się ze snu zerwała, sądząc, że na zamku się pali. Stali w osłupieniu, pytając jedni drugich, nie wiedząc, co się stało i co przygotowywać mogło. W otwartem oknie błada pokazała się Cosel. Zaklika wbiegł po schodach półżywy, zalamując ręce.

Spotkała go w progu Cosel z zaciśniętymi ustami, cała drżąca.

— Król! — zawołała — król! a! rozumiem! Król do mnie przybywa...

— Pani — przerwał Zaklika — król przybywa kul swoich dział na słupach u góry próbować.

Cosel rozśmiała się.

— Prosty, naiwny człowieku! — zawołała — i ty w to wierzysz? Ja śniłam o nim od tygodnia. Duch mój błdził nad nim i pociągnął go ku sobie. Szukał pozoru... Chce mnie widzieć. On wie, że ja go kocham, że mu przebaczę. On jest wolnym, on chce mnie poślubić, jak dał słowo. Niech mnie ubiorą, jak do ślubu, jak na największą uroczystość. Chce być piękną! Chce mu przypomnieć tę Annę, przed którą klękał... Król — powtórzyła z zachwytem — mój król! mój pan!

I uderzyła w dłonie.

Zaklika ze spuszczoną głową, osłupiały, stał niemy.

— Wołaj sługi moje — dodała — niech przyjdzie Li-na, niech dobędzie z kufrów suknie.

I rozpuszczone włosy czarne, które jej na białą szyję spadały, ujawszy w dłonie, biegła po ciasnej izdebce.

— Wołaj mi sługi co prędzej! on może przybyć co chwila! a ja nie będę gotową! Mój król! mój pan... August.

Zaklika wybiegł, zawołał na sługi, a sam siadł na schodach i niemy, zbolący, półmartwy, nie mógł już z miejsca się ruszyć.

W zamku wrzawa była niezmierna. Dniało. Liczono minuty, liczono sekundy; nielitościwe bice smagały dla pośpiechu pracujących. Baterie rosły w oczach, ale i dzień rosł straszliwie. Najpiękniejszy w świecie ranek majowy wschodził ponad dolinami i góry, z których lekkie mgły wstawały ku niebu. Drzewa pachniały rosą skropioną, dyszały wonią łąki rozkwitłej; cała natura, jak dziecko w kolebce szczęśliwe, budziła się z uśmiechem

na ustach. Wśród tego wielkiego spokoju natury, w zamku, jak w poruszonem osiem gnieździe, syczało, ruszało się, roilo.

Żołnierze kładli mundury i zbroi kawałki, starszyzna dobywała najświeższych rynsztunków; komendant dowiedział się z przerażeniem, iż, przeciwko obyczajowi, z Pillnitz ani stół, ani kuchnia królewska, ani zapasy przybyć nie miały, a tu przecież najjaśniejszego pana przyjąć czemś należało. Co tu znaleźć, coby ust pańskich było godnem? Wzięto naturalnie kilka sztuk ze zwierzyńca, znalazła się flaszka wina, ale jak obozowa prostota zastawy miała się wydać w oczach pana tak do wspaniałości nawykłego? Rzeczywiście jeden był tylko stary kieliszek z herbami saskimi, godzien ust pana, a misy i talerze i reszta ubóstwo gospodarza przypominała. Księża z kościoła pożyczili obrusa, gospoda dostarczyła wiele; bez reszty musiano się obejść.

Półkartauny stawiono na przeznaczonych do nich wprędce usypanych bateriach. Było już po czwartej, czas upływał z szybkością przerażającą, lada chwila można było się spodziewać najjaśniejszego pana, który zapowiedział, że z Pillnitz do dnia wyjedzie. Komendant posłał na wieżę „siedmiu wierzchów“ wyrostka, aby mu dał znać, gdy na gościńcu od Pillnitz tuman pyłu zobaczy.

Artylerzyści wcześniej celowali półkartauny tak, aby kule napewno w słupy bazaltowe biły. Zabawka ta wydawała się im wcale pańską, bo na nic nieprzydatną, ale fantazyi musiał król dogodzić. Utrzymywało się tu od dawnych wieków podanie między ludem o jakimś ba-

jeczne obłożeniu, w czasie którego odbite kule na na-
pastników padały.

Wszystko stało w porządku i komendant lustrował
szczupłe swe siły, gdy z wieży chłopak dał sygnał.

W tej samej chwili burmistrz, ławnicy, mieszczanie
z chorągwiami i w paradzie, niosąc zardzewiałe klucze
od śpichlerza wójta miejskiego, wystąpili na gościniec;
na dzwonnicy ludzie oczekiwali znaku, ażeby powitać
pana biciem we wszystkie swe dzwony. W miasteczku co-
żyło, świątecznie ubrane, zalegało rynek i ulice.

Tuman kurzu, widny zdaleka, zbliżał się żywo, na-
reszcie dostrzeżono jadącego przodem wyciągniętym kłu-
sem dorodnego, pięknego, wspaniałej postaci mężczyznę.
Za nim gonili adjutanci, szczupły dwór i kilku zaproszo-
nych gości. W oddaleniu drugi orszak, jakby dogania-
jąc pierwszy, pośpieszał.

Milczenie głucho zaległo szeregi... oczekiwano. Co-
raz widoczniej rozeznąć było można niebieski żustokor
króla z haftowaną na nim gwiazdą Orla białego.

W bramie król ledwie skinął burmistrzowi i ławni-
kom schylonym do samej ziemi, biegł wprost drogą na za-
mek. Tu, u wrót, stała załoga, bito w bęben i kome-
dant wyszedł z raportem. Lecz król zdawał się pomiesz-
any, niespokojny i w złym humorze. Nie odezwał się na-
wet do nikogo. Zwrócił konia ku baterii na Röhrpforte
w zwierzyńcu i popatrzał chwilę, nie mówiąc nic; po-
tem ruszył pod twierdzę na Hannevalde. Przed tą ba-
terią najpotężniejsza masa czarnych słupów, jakby zwi-
zanych w pęk ogromny, się wznosiła. Widać stąd było
wieże, mury i okna Święto-Jańskiej wieży, w których

postać biała migiała. Ale król nie śmiał podnieść oczu.
Po krótkiej chwili zawrócił do zwierzyńca.

W tej chwili dobiegł właśnie Wackerbarth z Dre-
zna i towarzyszył królowi roztargnionemu, zasepionemu
widocznie. Wackerbarth stanął z tyłu, nie mówiąc nic.
Augustowi śpieszno było; dał znak: przystąpili arty-
rzyści do dział i ogromny huk dał się słyszeć, odbity
przez okoliczne góry.

Ucho czujne byłoby z nim razem pochwyciło krzyk
dziwny, jakby rozpaczy i boleści. Król wszakże i to-
warzyszący mu nie mogli usłyszeć, ani zobaczyć nic,
gdyż cała ich uwaga zwrócona była na półkartaunę
i bastyon, do którego podstawy dawano ognia.

Pierwszy strzał, skierowany na mur bazaltowy, wpra-
wdzie wybił w nim dziurę, ale żelazna kula rozbryznięta
się na kilka sztuk. Komendant przyniósł ją najjaśnie-
szemu panu. August popatrzał i głową ruszył w mil-
czeniu. Drugi strzał wymierzono już na same słupy, ro-
snące z ziemi u stóp bastyonu; kula została strzaskana
i kilka tylko kawałków kamienia odpadło, snadź da-
wniej nadkruszonego.

Kazał król, jakby zapalając się coraz, strzelać raz
trzeci i czwarty na skały nieco wyżej sterczące; sku-
tek był ten sam: kule roztrzaskiwały się, a kamień opa-
dał tylko w tem miejscu, gdzie go trafiły... słupy wy-
trzymywały. Za każdym strzałem, pękające kule i ka-
mienia odłamy leciały w górę i opadały, nie raniąc ni-
kogo, jednego tylko królewskiego konia, przy Röhrpforte
trzymanego, uderzył kamień w nogę i trochę skaleczył.
Za trzecim też strzałem, kawał rozbitej kuli, około sze-
ściu funtów ważący, przeleciał przez mury na miastecz-

ko i padł na słodownię, przebijając dach, sufit i rusztowania, aż do ziemi. Komendant, zobaczywszy to, pobiegł zaraz zbadać szkodę i kulę z kawałkami drzewa przyniósł przy najpowinniejszym raporcie najjaśniejszemu panu, który raczył ją oglądać.

Nie strzelano już nawet z baterii na Hannewalde. Król miał tej próby dosyć.

Od pierwszej chwili, gdy posłyszała Cosel o królu, była jak nieprzytomna; najprzód serce jej chwyciła nadzieja, że August, stęskniony, dla niej tu przybywał. Ubrała się z gorączkowym pośpiechem, z największym staraniem, patrzyła długo w zwierciadło, uśmiechając się sama sobie.

— A! nie, to nie może być inaczej — szeptała — jestem pewna, przybywa do mnie. Mógłżeby strzelać do tych murów, w których ja siedzę zamknięta, dla zabawki?... A! nie! to koniec mojej niewoli, to mojego tryumfu początek.

Biegała od okna do okna. Z jednego widać było pillnitzką drogę i na niej Nider-Thor. Postrzegła tuman pyłu, serce jej biło, płakała. Wtem dały się słyszeć dzwony, bębny; król wjeżdżał... cisza. Przycisnęła serce dłonią, czekała. Zdawało jej się, że go usłyszy na schodach, że go ujrzy we drzwiach, pełnego łaskawości i litości. Długo trwało potem milczenie złowrogie... i strzał się rozległ... strzał i krzyk. Cosel upadła na ziemię. Nagle porwała się, jak wściekła, rozjuszona, z rozrzucenymi upadkiem włosami i pobiegła do stolika.

Ręce, dygoczące ze wzruszenia, odmawiały jej prawie posługi; odsunęła szuflady, rozwinęła jedwabne chu-

sty, dobyła pistolet, który jej nigdy nie opuszczał, i ukryła go w szerokim sukni rękawie.

Jak oblakana, przybiegła do okna najbliższego, rozglądając się w prawo i w lewo. Z tej strony słychać było trzaskające strzały i skały gruchotane, których odłamy dolatywały do okna. Cosel wyprostowała się, oczy jej pały ogniem, ręce drżały, pierś się podnosiła gwałtownie. Czekala.

Za każdym strzałem chwyciła się za głowę i serce, jakby nie wierząc uszom, nie ufając oczom. Śmiech dziki błakał się po ustach, a łzy napępiały powieki.

Za czwartym strzałem ucichło.

I długo było cicho; Cosel nie ruszała się z miejsca, w prawej ręce trzymając i cisnąc pistolet.

Już prawie znużona tem oczekiwaniem paść miała, gdy na drodze, pod oknem, tętent konia dał się słyszeć. Cosel wysunęła się do pół... patrzyła.

To był on! on! August! Jechał sam, pędząc konia drożyną pod murami.

Krzyknęła. Podniósł głowę, stanął i, rękę przyłożywszy do kapelusza, niemy, blady, stał, rwąc konia, który mu się wyrwał.

Hrabina wychyliła się ku niemu z okna, jakby się rzucić chciała.

— Królu! panie! litości!

August nie odpowiedział, Cosel uśmiechnęła się.

— Litości od ciebie spodziewać się, okrutniku nieczemny! ty, co słowa łamiesz i karzesz za nie tych, co się o nie upominają! Litości! od ciebie? Co dla ciebie ludzkie życie, czem serce ludzkie dla ciebie? Co-

sel niewolnica gardzi tobą, brzydzi się, przeklina. Ciebie i pokolenie twe, i kraj i imię. Giń, nikczemny!

W tej chwili dobyła pistoletu i... strzeliła do króla.

Głucho rozległ się strzał ten po zamku i śmiech. Cosel padła. Król, jak osłupiały, usłyszawszy świst kuli, która mu kapelusz drasnęła, oprzytomniał; skłonił się z uśmiechem i konia puścił cwałem.

Nie dziw, że potem, nie przyjąwszy śniadania u komendanta, chmurny, natychmiast nazad do Pillnitz odjechał *).

*) Bei dieser Gelegenheit, hatte sie nach dem Kurfürsten geschossen (Stolpen Stadt und Schloss 66)

X.

Gdy Zaklika, przerażony strzałem i hałasem, wszedł do pokoju Cosel, zastał ją bladą, bezprzytomną, leżącą na ziemi. Koło niej wystrzelony dymił pistolet. Domyślił się wszystkiego. Sługi nadbiegły także ratować panią, która zdawała się jakby umarłą.

Ludzi wielu słyszało strzał, August wszakże nikomu o nim nie powiedział i zamilczał. Domyślano się stąd, iż o nim rozpowiadać nie należy.

Nierychło poruszona tym wypadkiem hrabina wróciła do sił i dawnego trybu życia. Wiedziała ona, iż teraz nie ma się już czego spodziewać: los jej był rozstrzygnięty na wieki.

Nie dziw też, że wśród tej długiej, jednostajnej niewoli, w umyśle jej chwilami czuć było jakby oblęd jakiś, jakby zwichnięcie i szaleństwo.

Na pozór jednak poddając się swojemu przeznaczeniu, Cosel i po tym roku 1727 nie wyrzekła się nadziei oswobodzenia. W rok potem, mając przez Zaklikę znaczną sumę ze sprzedanych klejnotów, usiłowała, nie radząc się

go, nie mówiąc mu nic, wyrwać się, przekupując otaczających. Pewnego dnia późnej jesieni spuściła się z mieszkania swojego na wieży, mając przyręczoną pomoc do wdrapania się na mur przy ogródku. Żydzi handlarze, których do tego użyła, kazawszy sobie zapłacić sowicie, niezręcznie posilkowali jej do tej ucieczki. Już była na drugiej stronie muru, który po lekkiej drabinie ze sznurów miała odwagę przebyć, gdy warty, usłyszawszy ruch u stóp wieży, załogę zaalarmowały. Komentant przypadł i, nim hrabina miała czas oddalić się cokolwiek od zamku, pochwyciono ją, odprowadzając na zad do mieszkania, u którego odtąd znowu stały warty.

Nie wzbraniano jednak przybywającym do Stolpen widywać się z nią, a trochę później we dnie do ogródka wychodzić.

Zaklika siedział ciągle w miasteczku, nie obudzając szczęściem podejrzenia, gdyż zachowywał się spokojnie i w ostatnim wypadku posądzonym nawet być nie mógł. Cosel dawała mu różne rozkazy, ale dotąd nie żądała nawet pomocy do ucieczki.

W następnym roku podrażniły nieszczęśliwą niewolnicę wiadomości o obchodzonym świetnie, świetniej może niż kiedykolwiek, karnawale w Dreźnie, z powodu przybycia Fryderyka Wilhelma wraz z synem Fryderykiem (Wielkim). Pobyt ich tutaj trwał cztery tygodnie.

W kilka dni po przybyciu Fryderyk pisał stąd do Seckendorfa: „Tutejsza magnificencja jest tak wielka, iż sędzę, pewnie u Ludwika XIV nie mogła być większą, a co się tyczy rozwiązłego życia, wprawdzie jestem tu dopiero od dwóch dni, ale muszę powiedzieć prawdę, że nic podobnego w życiu nie widziałem“.

Magnificencje te trwały cały miesiąc, rozpoczęte dnia 13 stycznia. Króla pruskiego przyjmował Flemming w Elsterwerday i stąd wysłano po syna Fryderyka, którego August zapraszał.

Nazajutrz król z synem z maskarady, odbywającej się u feldmarszałka, przyszli powitać przybywającego. Następne dni spływały na nużących zabawach, komediach, baletach, pokazywaniu zbiorów i kosztowności. Na rynku wyścigi dnia jednego, potem gonienie do pierścienia, ciskanie dzirytów i t. p. Nie przeszkodziło zabawom, że wybuchły pożar w cekhauzie zmusił gości do ucieczki z mieszkania. Sadzono się na karuzele, w których król występował po polsku w galonowanej sukni złotej z białymi i niebieskimi piórami. Myśliwstwo, oglądanie zamków nie ustawały. Cosel wiedziała o tych wszystkich wymysłach, które się powtarzały z dawniej jej dobrze pamiętnych.

Orzelska bałamuciła Fryderyka Wielkiego, który był nią mocno zajęty, a król, zazdrosny, wypłacał się figlami. Dlatego to później o nim pisząc, Fryderyk mówił: „Król polski jest ze wszystkich w świecie monarchów najfałszywszym i wzbudzającym we mnie wstręt największy; nie ma czei ani wiary: oszukaństwo jest dlań jedynym prawem... własny interes a różnienie drugich ciąglem staraniem. Ale raz mnie tylko potrafił podejść i więcej nie zdoła“.

Pomimo tych uczuć obu Fryderyków pruskich dla Augusta, najczulej się ściskano, a trzpiotano. Pewnego dnia król August z księżną Teschen grał rolę gospodarzy i prowadził zabawę, w której występowali chłopcy francuscy (żona księcia następcy), włoscy komedjanci (Orzel-

ska), górnicy (Rutowski i pani Manteufel, z domu Bludowska), w ostatku chłopci norwescy (feldmarszałek Flemming i żona jego z domu księżniczka Radziwiłłówna). Król pruski był przebrany za pantalona, a Fryderyk Wielki za norweskiego chłopca!

Król szczególnie odznaczał się nadzwyczajną uprzejmością dla swych gości i niesłychanego bogactwa strojem, okrytym brylantami. Pomiedzy nimi jaśniał nabyty przed piętnastu dniami, blisko dwóchsetkaratowy brylant najczystszej wody.

Odbywszy całą miesięczną tę zabawę na dworze drezdeńskim, król pruski pisze poufnie do Seckendorfa: „Jestem w Dreźnie, skaczę i tańczę, a zmęczony daleko więcej, niż gdybym codzień po dwa jelenie uszczuł. Wracam do domu znużony przebytymi tu przyjemnościami. Z pewnością żyje się tu nie po chrześcijańsku, ale Bóg mi świadkiem, że w tem żadnej przyjemności nie czułem i powracam tak czysty, jak przybyłem“.

Zabawom tym królewskim nie było końca.

Najwspanialszą i ostatnią pono był obóz w Mühlbergu nad Elbą, który trwał miesiąc cały, który poeci opiewali, ale też i wyśmiewano się z niego po cichu.

Miejsce na obóz samo, oczyszczone z lasu, zajmowało mil trzy obwodu.

Spędzono chłopów i górników i w pień go wycięto. Dwadzieścia tysięcy piechoty i dziesięć jazdy polskiej i saskiej stało obozem; wszystko nanowo wyekwirowane i na francuski sposób wyegzercytowane. Najwspanialsze były kawalergardy grands mousquetaires konni, grenadyerowie konni, gwardya konna, spahi i ko-

zacy, a z piechoty: janczarowie i batalion lejbgwardyi grenadyerów Rutowskiego.

Janczarowie mieli mundury z lamy złotej, a Rutowskiego batalion z najogromniejszych ludzi zachwycił króla pruskiego nad wyraz wszelki. Król miał główną kwatery w Zeitheyn, w drewnianym, na prędce wzniesionym, ale olbrzymim budynku, o dwóch piętrach z suterrenami, okrytym zewnątrz płótnem malowanym. Do malowania tego sprowadzono umyślnie sześciu dekoratorów z Włoch. Na chorągwi powiewało godło: Otia Martis. Oprócz pałacyku, król miał dwa ogromne namioty.

Z gości przyjmował August znowu króla pruskiego z synem i mnóstwo cudzoziemców, piętnastu posłów samych a sześćdziesięciu dziewięciu hrabiów i trzydziestu ośmiu baronów.

Z Francyi przybył nawet Maréchal de Saxe.

Wiecej się tu bawiono, muzyki słuchano, tańczowano i spalono ogni sztucznych, niż popisywano z wojskami. Na jednej z uczt tutejszych podano sławny ów olbrzymi pasztet, czy ciasto, długie na szesnaście łokci, a sześć szerokie, na które poszło siedmnaście szefli maki. Przywieziono je na wozie ośmiu końmi ciągnionym, a cieśla musiał je krajać. Wszystkie te pomysły płodny w nie August sam wynajdywał i wykonaniem ich się zajmował. Sławny Zucchi sztychował później ku podziwowi potomnych historję mühlberskich cudów; opiewał je König, poeta nadworny, a Fryderyk Wielki z nich szydził nielitościwie.

O wszystkim tem donoszono i rozwożono wiadomości po kraju, lud i słudzy je cheiwie powtarzali, a Cosel także słuchać musiała, gorzko uśmiechając się fetom, któ-

re świętokradzko, bez czucia, powtarzały kropla w kroplę te, jakie August dawał dla niej.

Jątrzyła ją ta obojętność króla, rozbudzając chęć wyrwania się z więzów i pomszczenia może na nim swej niedoli a jego niewiary.

Przychodziły na nią takie dni szachu i niepokoju, a potem znowu bezsilności.

Kilka razy miała już na ustach powiedzieć Zaklice: „na ciebie kolej“. On też spodziewał się tego i czekał. U niego zawsze w gotowości było wszystko, sam jeden był, mógł umrzeć.

Przez lat tyle pobytu w Stolpen, miejsce i ludzie byli mu doskonale znani. Myślał po każdej nieudanej wyprawie, jakby przyszłej zapewnić powodzenie. Był to jedyny przedmiot, którym się zajmował. Wyzywać ją jednak na niebezpieczeństwo nie chciał: czekał.

Pewnego dnia, gdy Żydzi razem z innym towarem przynieśli jej hamburską gazetkę, w której było opisanie ostatnich zabaw czasu bytności króla pruskiego, a między innymi karuzelu, niegdyś dla niej po raz pierwszy wymyślonego, Cosel oburzyła się; oczy jej, jak zwykle, gdy bywała poruszona, zaiskrzyły się. Odczytała dziwnym stylem napuszonym opowiadanie... zmięła i zdeptała.

Zaklika na to nadszedł.

Chodziła długo zamyślona.

— Masz jeszcze ochotę życie swoje ważyć dla mnie?
— zapytała po cichu.

— A! zawsze — poprostu odparł Zaklika.

— Masz jaki sposób ratowania mnie?

— Będę go szukał.

— Żal mi ciebie, najwierniejszym mi byleś — rzekła — ale nie żałuję siebie; gotowam zginąć sama. Muszę się stąd wyrwać... muszę.

Rajmund stał zamyślony.

— Potrzebujesz wiele czasu?

— Nie mogę się obrachować — odezwał się Zaklika — trzeba raz tak począć, aby dokonać, co się zamierzało.

Skinęła Cosel. Zaklika wyszedł i, nie zachodząc do nikogo, wysunął się poza zwierzyniec, potrzebując sam na sam myśli zebrać. Rozmaite plany miał oddawna, wszystkie one najlepszymi się zdawały, a jednak każdy miał jakąś wadę.

Wszystkie poprzedzające próby chybiły przez to, że się zawczasu o próbie dowiedziano, należało tę obwarować, aby nie została odkryta, aż gdy Cosel dostanie się za granicę. Potrzeba było zatrzeć ślady ucieczki i omylić pogonię.

Nieszczęściem Zaklika nikogo nie miał do pomocy, oprócz kilku wiernych, znajomych Wendów, bojaźliwych i niezręcznych. Rachować mógł na ich uczciwość, lecz wcale nie na przebiegłość.

Pora, w której ucieczkę wykonać należało, zdała mu się ta najlepszą, gdy jak najmniej spodziewać się jej mogli na zamku.

Powiedział więc sobie: we dnie.

W bramach zamku ścisłej kontroli wchodzących i wychodzących nie utrzymywano, puszczano przekupniów do hrabiny, do komendanta i mężczyźni nie zwracali żadnej uwagi. Wnosił więc, że Cosel w chmurny lub słotny dzień, nad wieczorem, okryta jego płaszczem woj-

skowym, z czapką na oczy nasuniętą, śmiało wyjść mogła i straży jej nie zaczęła. On zaś sam miał o kilka kroków iść za nią i przeprowadzić za zwierzyńiec do koni wierzchowych, na które tu wsiąść mieli i puścić się zaroślami i lasem bez drogi w góry. Lasy łączyły się naówczas ze zwierzyńcem królewskim, konie miał w pogotowiu trzymać Hawlik.

Przez kilka dni Zaklika ważył i rozważał... nie lepszego znaleźć nie mógł.

Przyszedł więc do hrabiny, poddając jej myśl swoją.

Chwyliła się jej gwałtownie, znajdując bardzo szczęśliwą.

— Pierwszy dzień dżdżysty, niema czego zwlekać — zawołała — trzeba próbować. Jestem zdecydowana bronić się, spodziewam się, że i ty nie dasz wziąć się im gołą ręką. Trzeba się więc uzbroić.

— Ja mam nadzieję, że to nie będzie potrzebne.

Cosel nic nie odpowiedziała.

Przez dni kilka niebo było wypogodzone i jasne. Zaklika przychodził codziennie, czyniono przygotowania; przewidując, że tu już nie powróci, sprzedał za bezcen swój dworek i spieniężył, co tylko było można.

Naostatek niebo się chmurami zaciągnęło późno we czwartek i zdawało się, że na dni kilka stała się ślota zapowiada. Zaklika umyślnie płaszczem okryty kręcił się, wchodząc i wychodząc z twierdzy, ucząc żołnierzy, iż na zapytanie odpowiadać nie lubi. Szły próby jak najlepiej. W piątek padał deszcz od rana; gdy zaczęło zmierzchać, wszystko było w pogotowiu. Sługi Cosel otrzymały uwolnienie do miasteczka.

Okryta płaszczem żołnierskim, z czapką na głowę

nasuniętą, zgarbioną, Cosel posunęła się ku pierwszej bramie świętego Donata i nikt na nią nie zwrócił uwagi; w drugiej żołnierz popatrzył i przepuścił, nie mówiąc.

W kilka minut potem prawie podobnie okryty Zaklika śpiesznie szedł przez bramę pierwszą, w której nie spotkał nikogo. W drugiej żołnierz zaczął mruczeć:

— A wielu was tu jest? tylko co jeden, już drugi?

Zaklika odstłonił mu twarz.

— Dyabeł cię zna — odezwał się żołnierz — tylko wiem, że jeden wszedł, a dwóch wychodzi.

— Jakich dwóch?

— Juściżem nie ślepy.

Zaklika, nie zważając, posunął się ku wyjściu: żołnierz go zatrzymał.

— Ależ mnie tu wszyscy znają — rzekł, śmiejąc się — czegoż chcecie?

— Idź się tłómacz do komendanta, a nie, to cię nie puszcza.

Zaczęli się z sobą klócić, zrobił się gwar, nadbiegł wachmistrz. Poskarżył mu się grzecznie Zaklika, że tego jeszcze nigdy nie bywało. Puszczono go.

W kilka chwil znikł w zaroślach za zwierzyńcem, ale żołnierz mruczał.

— Cóżś do niego upatrzył? — zapytał wachmistrz.

— Na straży muszę liczyć ilu wchodzi a ilu wychodzi: jeden w takim płaszczu wszedł, a dwóch ich wyszło. I ten pierwszy taką miał minę, jakby on wcale żołnierzem nie był. A nuż Cosel? — dodał, śmiejąc się.

— A no! pleciesz! — rzekł niespokojnie wachmistrz.

Stał, pomyślał i poszedł ku wieży świętego Jana.

Tu dowiedział się od posługacza kuchennego, że kobiecie wszystkim dane było pozwolenie na miasto.

Wbiegł na drugie piętro, pokój był ciemny i pusty; na trzecim też nikogo. W ogródku szukać w deszcz śmiesznie było, wachmistrz głowę tracił i pobiegł do komendanta. Ten wybiegł z ludźmi najprzód pod wieżę, przeszukano wszystkie kąty, a czas upływał. Zaczynało dobrze zmierzchać. Nie ulegało już wątpliwości, iż Cosel uciekł. Uderzono na gwałt i komendant z ludźmi, rozdzieliwszy ich na kilka oddziałów, wybiegł w pogonь zrozpaczony.

Cosel tymczasem biegła do koni, które w znanym jej miejscu stać miały: omyliła się w pośpiechu i zbłądziła. Zaklika dobiegł do nich, gdy jej jeszcze nie było. W rozpaczę puścił się szukać, nie śmiejąc nawoływać, bo już bicie na alarm słyhać było.

Straciwszy czasu niemało, spostrzegł ją stojącą pod drzewem, już w zwątpieniu; pochwycił ją za rękę i doprowadził do koni. Cosel, odzyskawszy przytomność umysłu, rzuciła się na siodło, Zaklika chwycił konia za cugle, gdy ludzie z załogi nadbiegli i otoczyli ich. Nie mógł się bezbrinnie dać wziąć Zaklika i, wołając na nią, aby uchodziła, stanął z pistoletami i szablą do walki.

Kilka strzałów zahuczało i świsnęło, i pocziwy Zaklika, rażony kulą w samo czoło, jęcząc, powalił się na ziemię. W tejże chwili żołnierz chwycił konia hrabiny, która napastnika trupem położyła, ale tuż przyszedł drugi i trzeci, poddać się było koniecznością.

Komendant nadbiegł, gdy już dwa trupy zimne leżały na ziemi skrwawionej, a trzeci ranny dogorywał.

— Pani hrabino — zawołał — licz pani, ile życia ludzkiego jej wycieczki daremne kosztują!

Skoczyła z konia i zbliżyła się do leżącego trupa Zakliki. Bładem usty pocałowała go w krwawe czoło. Rękę trzymał machinalnie przyciśniętą do piersi, gdzie był złożony i powierzony mu akt przyrzeczenia królewskiego, który Cosel zdjęła z niego i zabrała z sobą.

Odprowadzono ją na zamek milczącą i pogrążoną w myślach, z których nie prędko wyszła. Siedziała po całych dniach zanurzona w biblii i obudzała litość nawet w tych, którzy jak najobojętniej na jej los patrzyli. Zaklice kazała sprawić pogrzeb, na który posłała pieniądze.

— Mnie go nikt nie sprawi — rzekła — nawet dzieci, bo te mnie nie znają. Sama jestem na świecie.

Cosel, w chwili, gdy to się działo, miała już lat czterdzieści dziewięć. Piękność jej, jak świadczą wszyscy współcześni, oparła się latom i cierpieniom; była jeszcze piękna, a rysy twarzy zachowały wdzięk dawny i oczy nie straciły blasku.

Od tej pory przestała wychodzić do swego ogródka, otoczyła się książkami, czytała biblie, studyowała kabałę; kazała sobie księgi hebrajskie tłómaczyć; zabijała czas, nie mogąc zabić siebie. Były to ostatnie lata panowania Augusta II, który je spędził, naśladować pilnie pierwowzór swój, Ludwika XIV. Świetne zabawy i przepychy ustąpiły nieco fantazji budowli olbrzymich, zakładaniu gmachów, wznoszeniu pałaców.

Drezno, drewniane dotąd i dość niepozorne miasto, rozkazano albo przebudowywać z muru, lub domy sprzedawać. Wzniesiono najprzód ratusz na starym rynku. Flemming, Vitzthum, Wackerbarth, Sułkowski musieli

wznosić pałace. Od Flemminga odkupił król pałac japoński, wprzód holenderskim zwany; zakładano ogrody, wznoszono koszary, projektowano monumenty; stał już piękny Zwinger, cacko w swoim rodzaju, który miał być tylko podwórcem do olbrzymiego pałacu nowego. Piękne drzewa pomarańczowe, które dziś zdobią latem Zwinger, mają bajeczną historię swoją. W tym roku 1731 król naukową ekspedycję wysłał do Afryki. Jako balast wrzucono w okręt czterysta ściętych drzew, które do robót tokarskich miały być użyte; spróbowano je posadzić: większa ich część ożyła.

W okolicy Drezna wznosiły się zamki Moritzburg, Hubertsburg, domy letnie w Pillnitz i t. p.

W roku 1731 przedstawiono z wielkiem powodzeniem operę Cleofida o Alessandro nelle Indie, w której występowała po siedmkróć piękna Faustyna, słynna śpiewaczka, a po siódmym przedstawieniu mąż jej uznał właściwem udać się do Włoch, dla dalszego muzycznego wykształcenia.

Chociaż Sasi niewiele mieli praw, o któreby się upominać mogli i śmieli, a August nie dopuszczał marzeń o swobodach podobnych tym, które mu Polskę obmierziły, wszakże sejm saski dla samej reprezentacji zebrać w tym roku pozwolił i z wielką ceremonią odbył się on w sierpniu; a Lubomirski, Sapieha, Czartoryski i podkanclerzy Lipski byli świadkami, jak to się tu te obrady cicho, porządnie, pięknie i programowo odbywały.

Jesienią król pojechał do Polski, przyjmowany przez wielu dygnitarzy w Łowiczu, i zamieszkał w Wilanowie. Tu obchodzono świętego Huberta. W następnym roku świetny znowu karnawał z gospodarstwami obcho-

dzony był w Dreźnie. Król ruszył do Polski, skąd dwa nacie par żubrów wyprawiono do zwierzyńca w Krejtern, ale te bezpotomnie tu wygasły. Najjaśniejszy pan nie lubił plotek, postąpiono sobie surowo z panem majorem d'Argelles, który paszkwile z Paryża słał do Warszawy. Złamano mu szpadę nad głową, oprawca go opoliczkował, potwarcze pisma w gębę mu zatkał, a potem na całe życie posłano go do gdańskiej fortecy.

W Dreźnie budowano niezmiernie, zaczęto hotel invalidów na wzór paryskiego i wiele innych budowli. Wilanów też dla króla odnowiono i tu zebrał się na podziw polski obóz, na wzór onego głównego pod Mühlbergiem.

Nie pomogło to jednak wcale na chorobę i sejm został zerwany. Szlachta wcale się na królu nie znała, a król też cierpieć jej nie mógł. Pocieszając się, jechał August z Friesenem i Brühlem oglądać gmachy, które dwa tysiące robotników wznosiło: piramidgmach, japoński pałac, koszary, kościół, twierdę. Król się starzał, choć chciał zawsze młodego udawać. Jeszcze w roku 1697, gdy padł był, popisując się przed księżną Lubomirską, stłukł sobie nogę niebezpiecznie. Kazano mu się szanować, o czem wcale nie myślał. W roku 1727 musiano zgangrenowany palec u nogi obcinać, a Weiss, chirurg, który podjął się operacji, głowę ważył, gdyby się nie udała. Powiodła się jednak szczęśliwie, pomimo to, z trudnością mógł się już na nogach utrzymać i, rozmawiając z damami, na taborecie przysiadł.

W ostatnim roku, w Lipsku, jeszcze obchodził ulubiony swój jarmark noworoczny, oglądał przyprowadzone konie; potem karnawał uroczyście w Dreźnie otwo-

rzył, a że sejm się zbliżał, ruszył do Warszawy na dzień 16 stycznia.

Droga zimowa, uderzenie w nogę przy wysiadaniu, spowodziły gangrenę i we trzy dni król nie żył. Dziwna rzecz, że w takim życiu do lat sześćdziesięciu trzech mógł wytrzymać.

Przywodziłszy wyżej wiele zdań o Augustcie, mniej więcej zgodnych w ocenieniu jego charakteru.

W kilka lat po zgonie hrabia Schulenburg, wezwany przez Voltaire'a, napisał o Augustcie II:

„Pewną jest rzeczą, że król August polski był jednym z monarchów najwykształceńszych, jakich sobie wyobrazić można (*vollendetsten*); posiadał sąd o rzeczach sprawiedliwy i dar rozróżniania największy, nadzwyczajną zręczność i energię, był bardzo pracowity i tak pilny (?), jak prywatny człek, który się chce czegoś dobić; kto go w różnych okolicznościach nie widział, ledwieby mógł uwierzyć, do jakiego stopnia umiał udawać i dysymulować; zdolny był bardzo pojąć wszystko i wedle swego sposobu widzenia rzeczy się kierować. Oprócz tego rozumiał wojnę wielką i małą, siedząc na koniu, doskonale zdejmował plany, wszelkiego rodzaju fortyfikacye znał dobrze, napaści i obrony twierdz; — wybornie w każdym wypadku umiał należyte rozporządzenia wydawać i instrukcyje, naostatek znał artyleryjską naukę, jak ci, co się jej z powołania oddają“.

Jedyny syn Augusta, który dziwne odebrał wychowanie, między wyznaniem protestanckiem a katolicyzmem trzymany, aby wedle potrzeby mógł jedno z nich wyznawać, na lat kilka oddalony był z Saksonii i w tej podróży przez Jezuity Salerno ostatecznie został nawrócony. Na

dworze Ludwika XIV znajdowano go bardzo skromnym, bojaźliwym i rozsądnym. Dopiero w 1717 roku ogłoszono publicznie nawrócenie go na wyznanie katolickie, któremu pozostał wiernym. Stwierdziło to ożenienie z księżniczką austriacką Maryą Józefą. Po siedmioletniej niebytności, młody kurfirst powrócił do Drezna z żoną.

August II różnił się od swojego ojca obyczajem i charakterem najzupełniej: był pobożny, skromny, nadzwyczaj leniwy, ale lubił też zabawy, a szczególnie polowania. Przyznawano mu rozsądek i zdrowe rzeczy pojęcie, lecz wstęł do wszelkiego zajęcia.

Panowanie Brühla i Sułkowskiego zwiastowało się już zawczasu, bo w ostatnich latach Augusta II; przypuszczano jednak raczej, że drugi z nich będzie owym wszechwładnym ministrem, jakim się później stał pierwszy.

Gdy wieść o śmierci Augusta II doszła z Warszawy do Saksonii i obwieszono ją po całym kraju, odbierając przysięgę na młodego kurfirsta, komendant ówczesny fortecy Stolpen sam ją przyszedł oznajmić hrabinie Cosel.

Stała długo niema i osłupiona, potem załamała ręce rozpaczliwie i rzuciła się, płacząc, na ziemię.

Niewola, okrucieństwo, zapomnienie, doznane krzywdy nie mogły jej niewieściemu sercu odjąć miłości, jaką miała dla niego. Odtąd znowu był jej ukochanym Augustem, a wszystko złe poszło w zapomnienie!

W pięć, czy sześć dni, z Drezna przybył niejaki Hennicke, który później tak świetną zrobił karierę, kazał się zameldować do hrabiny Cosel, w poselstwie od

kurfirsta. Siedziała, jak zwykle, nad książkami swojemi, gdy się ukazał w progu.

— Jestem przysłany do waszej ekscelencji — odezwał się — od najmiłoścowszego pana, aby jej dobrą nowinę zwiastować, żeś pani wolną i możesz, gdzie się jej podoba, zamieszkać.

Cosel ręką potarła po czole.

— Ja? wolną? — zapytała. — A na cóż mi dziś wolność?... Ludzie mi, ja ludziom i światu stałam się obcą. Gdzież pójdę? Nie mam kąta, zabrano mi wszystko! z kim żyć będę? nikt mnie nie zna! Chcecież mnie wystawić na pośmiewisko, aby tę hrabinę Cosel, przed którą wszyscy sklaniali głowy, palcami wytykano?

Hennicke milczał.

— A! nie! nie! — powtórzyła — nie, wolności nie chcę; nie mam gdzie się podziać: proszę, zostawcie mnie tu. Przyrosłam do tych murów, wszystkie lzy moje w nich wylałam, nie umiałabym żyć gdzieindziej; zostawcie mi ten kąt, proszę. Nie pożyczę długo.

Hennicke odpowiedział tylko, że najjaśniejszemu panu odniesie prośbę hrabiny.

Łatwo się domyślić, że dozwolono jej tu pozostać. Hrabina w roku 1733 miała lat pięćdziesiąt i trzy. Po tylu przecierpianych kolejach, nie spodziewała się już długiego życia.

Ale nikt nigdy nie odgadł swoich przeznaczeń.

Hrabina Cosel urządziła się wygodnie na wieży świętego Jana i w przytykającym do niej ogródku. Głównem jej zajęciem i ulubionem czytaniem były książki hebrajskie, literatura Wschodu, kabala. Otaczała się też ciągle Żydami i przez nich otrzymywała wszystko, cze-

go potrzebowała. Pensya jej, wynosząca trzy tysiące talarów, starczyła na utrzymanie, na zakupno książek i wykupywanie niepoczciwych, satyrycznych medalów, które August II, o zakład z nią poszedłszy, wybijać kazał. Kupowała także rzadkie talary, z herbem jej i króla. Uprosiła je sobie wówczas u niego, kiedy jeszcze sądziła, że ma prawa żony. Bito je w nadzwyczaj małej ilości. Po śmierci Cosel kilkadziesiąt sztuk tych monet znaleziono w jej fotelu.

W więzieniu i na swobodzie zachowała zawsze dumę i sposób obejścia się królowej. Miejscowych urzędników, duchownego i innych zwała: „ty“. Osobom, które Stolpen zwiedzały, oświadczać kazała „swą łaskę“. Po siedemnastu latach niewoli za życia Augusta II, przeżyła hrabina tutaj całe panowanie Augusta III i Brühla, obie kampanie śląskie i wojnę siedmioletnią całą.

Godna uwagi, że pierwszy strzał, który padł, rozstrzygając o przyszłych losach Saksonii, rozległ się o mury tego zamku. Pruski generał Warnery wypalił pierwszy do fortecy, zajętej przez kilku inwalidów, opanowując ją samotrzeć.

Fryderyk Wielki, w czasie wojny, wypłacał regularnie hrabinie Cosel jej pensję, ale w tej lichy monecie, którą zwano efraimitami. Z gniewu hrabina ćwieczkami do ścian poprzybijala wszystkie te talary.

XI.

W czasie wojny siedmioletniej w roku 1762 i zajęcia Drezna przez Austryaków książę de Ligne, który naówczas był pułkownikiem dragonów, jeździł umyślnie do Stolpen, aby hrabinę zobaczyć. Oświadczyła mu przy pierwszym widzeniu się, iż przedsięwzięła wszystkie religie poznać i, poznawszy je, wybrała żydowską. Wprzód była ona protestantka, jak hrabina Königsmarck i Maréchal de Saxe. Oświadczyła też księciu, że jeszcze za życia Augusta II mogła była wolność otrzymać, ale wolała w Stolpen zostać, bo jej nikt już na świecie nie znał, a nigdy się spodziewać nie mogła, ażeby żyła tak długo.

Przy rozstaniu miłemu gościowi darowała hrabina biblię, która, jak wszystkie inne jej książki, cała była okryta przypiskami grubym czerwonym ołówkiem, co jej wcale nie przyozdabiało. „Szukała tego skarbu — pisze książę de Ligne — tak uroczyście, z taką troskliwością, żem sądził, iż chyba mnie najdroższymi diamentami obdarzy“.

Księżę de Ligne widział ją ośmdziesiąt dwa lat mającą. Wkrótce potem otrzymał od niej list ledwie dający się wyczytać, a trudniej jeszcze zrozumieć, i powiada o nim, że go wysylabizować nie potrafił, tak był pełen mistycznych i magicznych formuł.

Z innych źródeł wiadomo, że sławnemu swego czasu oryentaliście, superintendentowi Bodenschatz, kazała dla siebie tłómaczyć Pirke aboth, książkę rabiniczną. Posłała mu na to dwadzieścia talarów, a list podpisała jako Borromeus Lobgesang. W kilka dni to zrobiwszy, Bodenschatz otrzymał sześć dukatów i najpiękniejsze podziękowanie. Później żądano od niego tłómaczenia innych traktatów, płacąc mu za arkusz po luidorze. Bodenschatz, zaciekawiony, chciał wiedzieć, dla kogo to robi; powiedziano mu, że listy jego, adresowane do Dreżna, posłaniec ze Schmidfeldu zabiera i odpowiedzi przynosi, a o więcej się dowiadywać nie życzono. W końcu ów nieznany korespondent zaprosił pana Bodenschatza do Dreżna, ofiarując mu podróż zapłacić. Jakoż znalazł go w istocie w Dreżnie. Cosel wystąpiła na przyjęcie go w zupełnym stroju arcykapłana starego przymierza. Kobiecą twarz poznał zaraz Bodenschatz.

Widywali się później częściej, hrabina przyjmowała go bardzo uprzejmie, dopytywała o różne objaśnienia talmudu, o księgi hebrajskie i rabiniczne pisma.

Hrabina Cosel Bodenschatza miała się starać przez ojca swej synowej, hrabiego Holzendorfa, ówczesnego prezydenta rady konsystorza, zrobić miejskim proboszczem w Stolpen. Nie przyszło to dlatego tylko do skutku, że go własny księżę Baireuth zażądał.

Bodenschatz zraził się też tem, że hrabina wyrażała

się bez pohamowania o wierze chrześcijańskiej. Oprócz tego, żona pastora, mimo sześćdziesięciu lat pani Cosel, która jeszcze była bardzo piękną, uczuła zazdrość i nie puściła go.

Naostatek, w roku ośmdziesiątym piątym życia, dnia drugiego kwietnia 1765 roku zmarła na zamku w Stolpen... a współcześni zostawili świadectwo, iż zwłoki jej zachowały jeszcze ślady tej nadzwyczajnej piękności, którą tak długo słynęła.

Śmierć była cichą... pogrzeb także. Dnia piątego kwietnia ciało złożone zostało w kościele zamkowym, bez kamienia, bez oznaki żadnej, w miejscu, o którym nikt nie wzmiankuje.

Troje dzieci zostawiła po sobie, przyznanych przez króla: hrabiego Fryderyka Augusta Cosel urodzonego w roku 1712, generała jazdy, szefa gwardyi i pana na Zaborze nad Odrą w Ślązku (pod Zieloną górą).

Jego to pałac nosił imię Cosel.

Cosel żonaty był z panną Holzendorf i zmarł w roku 1770, zostawiając jednego syna, który zszedł bezpotomnie. Cóрка jedna, starsza, Augusta Konstancya, wydana za hrabiego Friesena, wniosła mu w posagu Königsbrück, a umarła w 1724 roku. Młodsza, Fryderyka, urodzona w roku 1709, poszła za podskarbiego Fryderyka Krystyana Moszyńskiego. Mąż jej zmarł w 1737 roku, ona przeżyła go o lat prawie pięćdziesiąt i za panowania Brühla ona panowała nad Saksonią. Beczkę złotą kosztował ją pałacyk, zwany Moszyńskich, który został niedawno zrzucony.

Takie były losy tej kobiety, którą najsurowiej sądząc, na tle czasu, w jakim żyła, wśród ludzi, z jakimi obcowwała, niepodobna jej odmówić pięknego, szlachetnego, wzniosłego charakteru. Wśród powszechnego zepsucia, narażona na tysiące umyślnych pokus, wyzywana, aby się swej dostojności wyrzekła, Cosel wołała niewolę, męczarnie, niż wyrzeczenie się tego, co zdawało się jej honor zabezpieczać. W czasie najzłośliwszych plotek nikt nie śmiał i nie mógł nic przeciwko niej powiedzieć.

Miłość jej dla Augusta, który nigdy żadnej kobiety nie kochał, przetrwała lata i w chwili jego zgonu jeszcze z nową gwałtownością wróciła. W samych tych kabalistycznych obłędach biednej kobiety czuć umysł czynny, niemogący wyżyć bez zajęcia i sięgający najwznioślejszych zagadnień, któreby niezrozumiałe jej życie wytlómaczyć mogły.

Nie sądzimy, abyśmy w końcu potrzebowali zapewniać czytelników naszych, iż cała ta historia hrabiny Cosel we wszystkich zarysach, wypadkach, charakterach jest jak najściślej prawdziwą. Taką ją nam podały mnogie pamiątniki epoki: Haxthausen, Pöllnitz, Loen i inni.

Wyobraźnia nie potrzebowała dodawać prawie nic do tak bogatego materiału, ale go tylko wypełnić. Jest to jedna strona epoki i panowania, które się i nam czuło dało, widziana z Saksonii i z profilu. Król August nie ma w niej pięknej roli, ale ta, jaką mu nadają dzieje, jest ściśle prawdziwą. Wielu szczegółów, pełnych charakteru, któreby dzieje ścierpiały, powieść znieść nie mogła.

Dwa te panowania saskie, jak już za Stanisława Augusta zdrowsze umysły uznawały, oddziaływały na kraj

nasz w najzgubniejszy sposób. Dwór saski popsuł obyczaje polskie. Widzimy tu rodziny niegdyś najzaczniejsze, ubiegające się o piętno sromotne łask królewskich: Biełlińskich, Denhoffów, Pocijów, Lubomirskich. Zbytek i potrzeba rozrywek płochych, niepomierne bankietowanie, z Augustem przychodzą do Polski, ale z saską dynastją nie giną. Wielcy mężowie lat dawnych ustępują słynnym intrygantom, miłość kraju zmienia się w prywatę wyzyskującą wszystko; frymark szczepi się wszędzie, marnotrawstwo kraj niszczy. Blask dworu i elegancja jego na umysły słabe i zawsze do naśladowania skłonne fascynacyjny wpływ wywierają. *Regis ad exemplum* żyją wszyscy; niewidziane dawniej w rodzinach polskich zgorszenia przechodzą niepostrzeżone, społeczność chwieje się w posadach. Smutny to widok tembardziej, że tak na pozór wesołą i świetną ma fizyognomię.

Nie mniejszemi ofiarami okupiła Saksonia świetności te dwóch panowań: jednego rozrzutność samowolną, drugiego nieudolność i opieszałość zdumiewającą. Naśladowca Ludwika XIV zadał cios śmiertelny własnemu krajowi. Sasi przypisują zwykle staraniom o koronę polską, wojnom, dla utrzymania się przy niej toczonym, finansową swą ruinę i osłabienie. Przekonać się można jednak łatwo z pobieżnych nawet rachunków, że nigdy korona, wojny, sejmy, polityczne targi nie kosztowały Augusta II tyle, co jego zabawy, fajerwerki, obozy, balet, opera, brylanty i pałace ulubienic.

Marnotrawstwo było olbrzymie, nieprawdopodobne i wprzód jeszcze, nim Brühl poczał wysysać Saksonię, Hoymy, Beichlingi, Fürstembergi, wyciągnęli z niej dawną jej zamożność. Ani Sasi nam, ani my im nie do

zazdrośczenia nie mamy: oba kraje padły ofiarą fantazji Augusta Mocnego. Saksonia tylko rychlej obyczajowo dźwignąć się i pod wpływem otaczających ją Niemiec odrodzić mogła — nam na to dłuższego, dla wielu a wielu przyczyn, potrzeba było czasu.

Zamek w Stolpen pusty dziś, zamknięty, śliczna ruina milcząca, stoi, wspinając się wieżami swemi do góry. Zachował się jeszcze dosyć cało i wieżę świętego Jana, pokoje hrabiny Cosel, jej ogródek, wszystko to pokazuje grzeczny odźwierny, sprzedając małą książeczkę, służącą za przewodnika. Cicho tu i głucho. Oryginalną fizygnomię nadają zamkowi ogromne wieże słupów czarnego bazaltu, wyrastające z ziemi wszędzie. Do nich to strzelał August II, niepomny, że tam wśród nich zamknięta siedziała kobieta, której zatrul życie. Na cmentarzu i w kościele u stóp góry próżno pytać o grób Cosel: nikt o nim nie wie.

1873.

K O N I E C .

MUZEUM
JIK
B. ROMANOWICZ
1474

